Nr. 128. We Lwowie Wtorek dnia 9 Maja 1899 r. Rok XXXII.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie nie wyłączając niedziel i świąt o godzinie 8. rano

Protest Szlązaków.

Gwiazdka Cieszyńska zamieszcza w ostatnim numerze następujący „protest 200.000-cznej ludności polskiej Księstwa Cieszyńskiego."

Choć jeden Bóg nad ludźmi włada i jedno słońce wszystkich ogrzewa, jednak nie wszyscy o tem ludzie pamiętają, nie wszystkie pamiętają narody. Ludzkość cała, spowita niegdyś jarzmem pogańskich zasad, oświeconą została przed dwoma tysiącami lat świętą nauką miłości boskiego naszego Zbawiciela. Światło to nie ogarnęło jednakże całej ziemi odrazu i trzeba było długich lat walki, obfitego krwi rozlewu, zanim cały świat oświecony zgodził się na dwie niezłomne i niczem niezwalczone zasady, to jest, że:

1. Każdy człowiek na świecie ma równe prawo do życia i do szczęścia;

2. Każdy naród na świecie ma równe prawo do życia i do szczęścia.

Święte te zasady przyjęły się jednakże więcej w teorji, na papierze, lecz nie doczekały się jeszcze praktycznego swego spełnienia. I zaprawdę, dopóty nie zawita prawdziwe szczęście do życia i do duszy ludzkiej, dopóty prawdziwemi zostaną słowa filozofa Hobbesa: człowiek człowiekowi wilkiem, dopóty trwać będzie poganizm i nie wypełni się święta nauka boskiego Zbawiciela, dopóki ludzkość wedle sił swoich zasad tych w życie praktyczne nie wprowadzi.

Głęboko odczuwa to 200.000-czna ludność polska Księstwa Cieszyńskiego, ułamek wielkiego i tak świetnego niegdyś w dziejach, a dziś tak nieszczęśliwego narodu polskiego. Przed kilkuset laty pozbawiono nas wolności narodowej, a szczepowi naszemu pozostawiono mało mówiącą nazwę Szlązaka i pogardliwe przezwisko „Wasserpolaka".

Dziwnem jednak i szczęśliwem Boga zrządzeniem ocalał nam w całem Księstwie Cieszyńskiem najdroższy skarb nasz, święta ojców naszych i matek naszych mowa polska. Pod wpływem wszystko ogarniającej cywilizacji i wielkich haseł, rzucanych ludzkości przez wybrane i najdoskonalsze dzieci jej ducha, obudziło się w miłości do mowy ojczystej zatarte nieco poczucie nasze narodowe. Zbudziliśmy się i dziękujemy Bogu za tę wielką łaskę. Pracujemy krwawą dłonią, jak wszyscy ludzie, uprawiamy spokojnie nasze role lub wydobywamy skarby z głębi ziemi, a w zamian za to spożywamy chleb nasz powszedni, o który codzień w pacierzu prosimy. Lecz prócz potrzeb cielesnych mamy, jak wszyscy inni ludzie, potrzeby nasze duchowe i pragniemy je zaspokoić, gdyż jesteśmy ludźmi, a nie bezrozumnemi zwierzętami. Temi potrzebami duchowemi są dla nas: miłość do ziemi, która nas wydała i miłość do mowy, w której matka u piersi do nas przemawiała. Potrzeby te stały się koniecznemi dla naszej duszy i pragniemy je zachować dla siebie i dla dzieci naszych, które są krwią z krwi i kością z kości naszych.

Opatrzność zesłała nam mężów, którzy tę drogą i serdeczną naukę przez cały żywot dla nas rozsiewali. Minęło już 50 lat, gdy założyliśmy pisemko dla wyrażania uczuć naszych duchowych, pierwsze pismo, jakie w ogóle drukowano na Szląsku, *Gwiazdkę Cieszyńską*. Nauka trafiała na ziemię urodzajną, bo oto zastęp nasz i świadomość z dniem każdym rosły coraz bardziej. I stało się, że gromadka najbliższych nam rodaków szląskich zawiązała towarzystwo „Macierzy szkolnej", które miało dalej pracować nad nami i nad naszem zupełnem odrodzeniem. Bóg wszechmogący nie odmówił nam swej pomocy i oto przed czterema laty dał nam dożyć radosnej chwili: otwarcia polskiego naszego gimnazjum. Wielka była wtedy radość nasza, a wesołe zebrania i salwy zwycięskie rozległy się w tym dniu po wszystkich dziedzinach ukochanej naszej ziemi.

Dziatki nasze rojnie zapełniły nowy przybytek i zdawało się, że niebawem nowej doczekamy się radości. Dobrzy poddani, składający na równi z wszystkimi obywatelami naszej monarchji podatek z krwi i pieniędzy, wierzyliśmy, że rząd, uznając nasze potrzeby i pragnienia, przyjmie nasz zakład na własne utrzymanie i pozwoli nam swobodnie wychować się na wiernych poddanych, kochających monarchię i uświadomionych Polaków. Wszak królewne polskie były niegdyś żonami Habsburgów, a Habsburżanki były żonami królów polskich.

W Opawie zbiera się ciało prawodawcze dla całego Szląska, a więc i dla księstwa naszego. Zanim „Macierz szkolna" otworzyła gimnazjum, prosiliśmy wysoki sejm o wsparcie, aby chwilę tę przypieszyć. Odpowiedziano nam, iż wsparcie możemy otrzymać dopiero po otwarciu gimnazjum. W zeszłym roku ponowiliśmy prośbę, lecz wtedy na przedstawienie pastora Haasego powiedziano nam, iż gimnazjum powinien utrzymywać rząd, a nie sejm. W tym roku stała się rzecz inna. Wnieśliśmy prośbę naszą po raz trzeci, a wniosło także prośbę prywatne gimnazjum niemieckie we Frydku. I ten sam pastor Haase, żywiący się od lat dziecinnych do dnia dzisiejszego polskim chlebem, postawił jako referent wniosek, aby gimnazjum niemieckiemu udzielić zapomogi w kwocie 5.000 złr. i wezwać rząd stanowczo, aby je upaństwowił. Gdzież logika i konsekwencja, pastorze Haase?! Wszak jesteś pasterzem i polskiego ludu ewangelickiego! Naszą zaś prośbę odesłała sejmowa większość niemiecka do wydziału krajowego, aby zbadał cele i wyniki naszego gimnazjum, jako też potrzebę jego istnienia, sposób i źródła dotychczasowego pokrywania kosztów, skład zarządu i przynależność krajową do niego uczęszczających uczniów. Odpowiedź ma być wygotowana na przyszłe obrady sejmowe — czyli innemi słowy: lud nasz polski kopnięto pogardliwie nogą. Wydział krajowy ma się stać sędzią śledczym i zbierać materjał, aby sejm mógł sądzić gimnazjum i „Macierz szkolną" na przyszłej sesji. Proste odrzucenie podania byłoby złotem wobec takiego postępowania. Postępowanie w najwyższym stopniu krzywdzące i nam zupełnie niezrozumiałe. Jest to prowokacja całej ludności polskiej.

Jak to? Więc zaledwie czterdziestotysięczna ludność niemiecka księstwa cieszyńskiego ma dwie rządowe szkoły realne, rządowe seminarjum nauczycielskie, rządową wyższą szkołę przemysłową, dwa gimnazja rządowe, a jedno prywatne i to dostaje zapomogę, a dwukrociowa ludność polska nie ma żadnego gimnazjum rządowego, a prywatnemu pomódz się nie chce? Wszak my jesteśmy równymi Niemcom poddanymi wobec naszego monarchy, wszak my równie płacimy podatek i służymy wiernie w wojsku! Jeżeliby nawet prawdą było, że nasze podatki bezpośrednio są mniejsze, niż niemieckie, to pośrednio są one te same, jeśli nie większe. Nie godzi się bowiem zapominać, że robotnik nasz polski miljonowe skarby wydobywa z czeluści ziemi krwawym swym potem, z narażeniem życia i nie oglądając prawie słonka Bożego. Pot nasz rozlewa się po szląskiej roli, a tam w kopalniach, tam krew i groby nasze. Krwią opłaciliśmy podatek z tej ziemi, a ona droższa, niż wszystko złoto świata. W każdym cencie podatku wielkich posiadaczy mieści się część pracy i krwi naszej. A więc my mamy swe prawa i musimy mieć swe prawa!

Wobec tego ludność polska 200.000 uroczyście protestuje przeciw krzywdzie, która ją ma spotkać. Wszak w subwencji na gimnazjum frydeckie i nasza zawarta krwawica. A więc mamy prawo o własny grosz się upomnieć. Jesteśmy wiernymi poddanymi Austrji, lecz jesteśmy Polakami i nie chcemy być Niemcami. I nam szkół potrzeba, bo żaden naród bez szkół w swoim języku obejść się nie może. O tem powinna była pamiętać większość sejmowa, a z nią i pasterze polskiego ludu katolickiego i ewangelickiego ks. kardynał Kopp i superintendent pastor Haase.

Polskie szkoły ludowe na Szląsku nie odpowiadają rzeczywistym swoim potrzebom, w mieście Cieszynie już tak długo dotyka ludność polską bezprawie, gdzie dla 8000 Polaków nie otwarto dotychczas mimo prośby, polskiej szkoły ludowej. Wszystko dzieje się na korzyść mniejszości niemieckiej, a na naszą krzywdę. Wobec tego wierni poddani prosimy wysoki rząd, aby jak dobry ojciec wysłuchał próśb naszych i upaństwowił jak najrychlej nasze gimnazjum.

Protestujemy przeciw uchwałom niemieckiej większości sejmu, aby udzielić subwencji gimnazjum frydeckiemu, a nietylko pominąć nasze gimnazjum, lecz zająć wobec niego krzywdzące stanowisko.

200.000-czna polska ludność Księstwa Cieszyńskiego jak jeden mąż przeciwko postępowaniu z ludnością polską protestuje i domaga się sprawiedliwości.

„Narodnyj fond."

Lwów 8 maja.

Przyniesiono nam do redakcji litografowaną odezwę — podpisaną z ramienia ruskiego towarzystwa politycznego „*Narodnej rady*" przez pp. Romańczuka, Al. Borkowskiego, J. Beleja, B. Nahirnego, dr. Ozarkiewicza itd. — do Rusinów lwowskich. Autorowie tego pisma skarżą się u wstępu, że pomimo znacznego stosunkowo procentu ludności ruskiej we Lwowie — (twierdzą, iż według ostatniej konskrypcji 6000 przyznało się do ruskiego języka, a 18.000 do ruskiego obrządku) — miasto nie ma wcale charakteru ruskiego, nie widać nigdzie oznak ruszczyzny, nie słychać mowy ruskiej. Że dalej nikt z nimi tutaj się nie liczy, a głos ich nie ma żadnej wagi — winę zaś tego przypisują brakowi organizacji wśród Rusinów. Wszyscy oni są rozrzuceni, rozdrobieni, nie trzymają się, ani występują razem, i nie chronią nawet tych tysięcy przed wynarodowieniem... Lekarstwem na to wszystko ma być właśnie ta „Narodna Rada", a ponieważ taka organizacja polityczna, jeżeli ma skutecznie działać, to potrzebuje na gwałt „hroszy", więc pp. Romańczuk *et consortes* usilują stworzyć „narodnyj fond" w ten sposób, że nakładają „dobrowolny" podatek na swoich kompatrjotów. Wynosi on ½% od zdeklarowanego rocznego dochodu, a opłacający go ma być raz na zawsze już wolny od składek, zbieranych na różne potrzeby ruskie.

W tym też celu na końcu odezwy sporządzono kupon, który jest deklaracją do opłacania tego „podatku narodowego" w takiej a takiej wysokości, od rocznego dochodu zgłaszającego się Rusina zależny.

Do tej odezwy dołączono jeszcze egzemplarz statutu „Narodnej Rady". Celem jej, określonym w § 1 jest rozwój narodowości ruskiej, jako samoistnej słowiańskiej, odrębnej od polskiej i rosyjskiej, obrona praw narodu ruskiego i popieranie wszelakich jego interesów. Takich odezw rozesłano sporą ilość — nietylko do tych Rusinów, którzy przy konskrypcji przyznali się do języka ruskiego, ale i do tych wszystkich, którzy wyznają obrządek grecko-katolicki. Co do tamtych, nic dziwnego, że ich wydział „Narodnej Rady" za Rusinów uważa, swoją drogą, czy zdoła wielu pomiędzy nimi do tego podatku narodowego nakłonić, o tem pozwalamy sobie mocno powątpiewać. Pono sama bałamutna, niezdecydowana, chwiejna i nieszczera polityka prowodyrów tego stronnictwa sprawiła, że ogół ruski we Lwowie zupełnie zobojętniał dla wrzekomych ideałów tych panów. Ale zresztą to ich rzecz domowa.

Nie może być jednak obojętnem dla nas, że p. Romańczuk i spółka narzucaja swoje odezwy i adresują swoje westchnienie żałosne do tych 12.000 mieszkańców Lwowa, którzy nie używają wcale języka ruskiego, zatem nie przyznają się do narodowości ruskiej, a tylko — *sic fata tulere* — mają po rodzicach odziedziczony obrządek grecko katolicki. Jakiem prawem ten zbankrutowany polityk ruski identyfikuje obrządek z narodowością, to istotnie zrozumieć trudno. A jeszcze trudniej zrozumieć dziką pretensję tych ludzi, którzy wobec drobnej stosunkowo garstki, używającej języka ruskiego, bo stanowiącej mniej jak 5% ogółu ludności m. Lwowa, wyrażają obłudne zdziwienie, ba! żal nawet, że Lwów nie ma charakteru ruskiego i że z Rusinami nikt się nie liczy! Toż żydzi stanowią niestety we Lwowie przeszło 30%, a jednak pomimo swej rasowej arogancji, nie odważyliby się utyskiwać nad tem głośno, że stolica kraju nie ma żydowskiego charakteru. Nie wiemy dokładnie, ilu Niemców mamy w naszem mieście, przypuszczamy jednak, iż nie o wiele mniej jak Rusinów. Więc i oni chyba mogliby lamentować, że Lwów nie ma charakteru niemieckiego! Charakter każdego miasta — to rzecz wiadoma — pochodzi bezwarunkowo stąd, gdzie jest przewaga liczby, siły ekonomicznej i — co najważniejsza — inteligencji. Z tego powodu Lwów nigdy nie będzie miał i nie może mieć innej cechy, jak tylko polską i z tego powodu uroszczenia pp. Romańczuków *e tutti quanti* są co najmniej... niedorzeczne. Ale to już taka — „historyczna" rzecby można — natura ruska, względnie ruskiego chłopa i skutkiem niej właśnie powstało znane przysłowie: „Daj mu palec, on chwyta całą rękę" — Ciągłe ustępstwa, jakie sejm nasz od szeregu lat dla Rusinów robi, nabawiają ich prowodyrów formalnie obłędu wielkości i w paroksyzmach tej choroby wygłaszają żale lub postulaty, śmiesznie zuchwałe.

Kurs pisarzy gminnych przy wydziale krajowym.

Lwów 8 maja.

W dniu 16 bm. rozpocznie się we Lwowie, w wydziale krajowym, czteromiesięczn kurs nauki dla pisarzy gminnych. Wydział krajowy rozpatrywał na wczorajszej sesji podania kandydatów, ubiegających się o przyjęcie na ten kurs.

Podań wpłynęło ogółem czterysta kilkadziesiąt. Wydział krajowy przyjął na kurs 54 kandydatów, z których niektórzy otrzymują stypendja z funduszu krajowego i funduszów powiatowych. Kandydaci przypuszczeni na kurs są następujący: Jan Stelmachów z Bohorodczan, Józef Dolyniecki z Ponikowicy małej pow. brodzki, Józef Mietelski z Zakliczyna powiat brzeski, Jan Kaporyj z Kurzan, powiat brzeżański, Jakób Czaja z Koropca pow. buczacki, Wojciech Kudła z Weselej pow. brzozowski, Franciszek Wiązek z Myślachowic pow. chrzanowski, Antoni Różycki z Wygnanki pow. czortkowski, Jan Jarycz z Rolowa pow. drohobycki, Piotr Małaszczak z Lityni pow. drohobycki, Czesław Tabiński z Moszczanicy pow. gorlicki, Adam Laurynów z Uherca pow. grodecki, Jan Jaroszewski z Horodenki, Jan Zahajewicz z Tuczap pow. jaworowski, Makary Hatalak z Laszek pow. jaworowski, Franciszek Fartek z Gorzyc pow. jasielski, Piotr Michajłów z Kupcza pow. kamionecki, Grzegorz Haskawy z Żelechowa wielkiego pow. kamionecki, Miron Pareboczy z Jabłonówki pow. kamionecki, Grzegorz Zieliński z Rakobut pow. kamionecki, Józef Terlecki z Gwoździca starego pow. kołomyjski, Jędrzej Mróz z Męcinki pow. krośniański, Ludwik Kałuski z Siejowic pow. krakowski, Franciszek Olszewski z Mszany pow. limanowski, Jan Czechnicki z Brzuchowic pow. lwowski, Leon Samborski z Tolszczowa powiat lwowski, Paweł Trus z Dmytrowic powiat mościski, Władysław Kuchmański z Niska, Sawa Feczan ze Szlachtowej powiat nowotarski, Marjan Żabski z Sokołowa powiat podhajecki, Michał Butry z Siedlisk powiat przemyski, Michał Lalka z Rohatyna, Andruch Jacyk z Podzwierzyńca powiat rudeński, Michał Picho z Wojatycz powiat samborski, Jan Żyłka z Bażanówki pow. sanocki, Piotr Ciechański z Wojkowej pow. nowosądecki, Józef Grzegorczyk ze Zbikowic pow. nowosądecki, Mikołaj Tymiak z Budyłowa pow. śniatyński, Jan Samborski z Zabłotowa pow. śniatyński, Mikołaj Iwanijczuk z Karłowa pow. śniatyński, Edmund Hampl z Kryłosa pow. stanisławowski, Teodor Kozak z Hurnia pow. stryjski, Piotr Krasoń ze Zbydniowa pow. tarnobrzeski, Karol Prokopowicz z Bruniowa pow. tarnopolski, Łukasz Boharc z Isypowiec pow. tarnopolski, Józef Bogusz z Komarowa pow. tarnowski, Jan Biłyk z Skomorosla pow. trembowelski, Michał Matlak z Turki, Jan Lempart z Zahelmia pow. wadowicki, Onufry Szewczuk z Jasowiec pow. zbaraski, Oleksa Bułka ze Skwarzawy pow. złoczowski, Jan Hubner z Olejowa pow. złoczowski, Jakób Piątkiewicz z Pawłosiowa pow. jarosławski.

Wydział krajowy poruczył kierownictwo kursu pisarzy gminnych wicesekretarzowi wydziału kraj. p. Bronisławowi Schwermowi, a na nauczycieli powołał urzędników swych pp. Leopolda Bręglewicza, Bronisława Schworma, Feliksa Słotwińskiego, Mikołaja Latoszyńskiego, Wiktora Krobickiego i sekretarza związku straży pożarnych p. Antoniego Szczerbowskiego. Z powodu zgłoszenia się znacznej liczby kandydatów, drugi kurs dla pisarzy gminnych otwarty zostanie prawdopodobnie z końcem jesieni br.

Nasz przemysł piekarski.

II. Jak robotnicy piekarscy pracują w różnych piekarniach i jaką mają płacę, najlepiej przedstawi nam następująca tabelka:

Piekarnia	Wyrabia dziennie mąki białej	Wyrabia dziennie mąki czarnej	Zatrudnia do tej roboty ludzi	Którzy dziennie zarabiają	Pracuje tygod. przecięt. godz. po
Mojżesz Reif	1	2	2	1 zł.	102
Hławny	—	3	2	1·60	90
Salomon Menkes	5	4	7	7	120
Mojżesz Finster	—	6 70	3	3·50	109
Henoch Brand	8½	2½	8	10·60	126
Edward Gottlieb	1	3	4	1·80 i wikt	77
Bron. Mrazek	3	—	6	4 i 5 i wikt	77
Silbermann	3½	9	10	10·90	98
Schirmer	2	4	7	4 i 5 i wikt	70
Grossmann	—	4·50	3	2·30	108
Kalman Kal	1½	12	8	6·50	102
Borkiewicz	6	0·2	9	6·60, 8 i wikt	70
Mayer Natan	—	8	5	5·10	105
St. Hess	4	1·2	7	5, 5·20 i wikt	105
Włoszyński	3·20	1·80	7	11·70	78
M. Egre	4	—	5	5	108
Melech Serden	11	5	9	11	133
Zgórski	4	6	10	15·50	90

Wzięliśmy do porównania piekarnie małe, średnie i największe. Z tego zestawienia widzimy, że gdzieniegdzie wypada na jednego robotnika wyrób dwóch worków mąki i że ten jeden robotnik za tę szaloną pracę bez wytchnienia, w ciągłem napięciu przy wiecznym ogniu, pobiera za 18 godzin 1 zł. Również tabelka powyższa wykazuje, że w wyzysku tym prym wiodą żydzi. Gdzie w tabelce powyższej w ostatnich dwóch rubrykach jest najniższa cyfra płacy, a najwyższa godzin pracy, tam z pewnością zawsze w pierwszej rubryce znajdziemy

---

4)

Jerzy Ohnet.

O KOBIETĘ.

(Ciąg dalszy).

— Dajmy wszystkiemu innemu pokój, później powrócimy do tego; opowiadaj mi pan teraz o Lei Péralli. Byłeś pan zatem w San Francisco i tam znalazłeś się pan z nią oko w oko. Ale gdzie? Jak?

— W sposób jak najmniej spodziewany, a jednak najprostszy. Przybyłem w wilję tego dnia w towarzystwie z Raleighem Sterlinem, słynnym sportsmanem szkockim, niedoścignionym poławiaczem różnych ryb w ich najrzadszych gatunkach. Spotkałem się z nim nad jeziorem Słonem, gdzie złowił prawdziwe potwory rybie. Towarzyszył mi dalej w drodze do Sakramento, gdzie spodziewał się mieć obfity połów. Ja polowałem w Kanadzie i zastrzeliłem kilka bawołów.

Przebyliśmy już kilka tygodni w dzikiej pustyni, było też dla nas bardzo przyjemną zmianą, gdy znaleźliśmy się nareszcie wśród ruchu wielkiego miasta i w dodatku w bardzo miłem towarzystwie.

I właśnie najbogatszy człowiek tego miasta, Sam Pector, był jakimś krewnym mego towarzysza podróży. Skoro się tylko dowiedział o naszem przybyciu, posłał po nas swój powóz, kazał nasze rzeczy zabrać z hotelu i prawie przemocą umieścił nas u siebie w domu.

Był to stary kawaler, lat około pięćdziesięciu i tak bogaty, jak nim w tym kraju być można, żył jak książę i lubił się bawić. Zaraz pierwszego dnia, po doskonałym obiedzie, rzekł do nas:

— Dziś przedstawienie w operze. Dają „Otella", a miss Jenny Hawkins śpiewa Desdemonę, Novelli zaś, słynny tenor włoski, murzyna. Jeżeli panowie macie ochotę, pójdziemy i posłuchamy śpiewu i muzyki w mojej loży. Gdybyście się tam nudzili, wrócimy do domu, albo też pójdziemy do klubu kalifornijskiego, gdzie zechcecie.

O godzinie dziesiątej znaleźliśmy się w parterowej loży Pectora. Słuchacze byli porwani śpiewem wykonawców ról tytułowych, którzy rzeczywiście posiadali talent, ale za to najlichszych pod słońcem partnerów. Wskutek tego całe przedstawienie, z wyjątkiem scen, w których występowała para śpiewaków obcych, było nędznem, podobnem prawie do jakiegoś dzieła muzycznego, wygrywanego na katarynce.

Gdyśmy przyszli, Desdemony t. j. Jenny Hawkins nie było na scenie, ukazała się na niej dopiero w końcu aktu.

Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałem, zaczęło mnie niepokoić uczucie i to bardzo wyraźne uczucie, że znam tę kobietę. Była to brunetka z bardzo wyrazistymi rysami, o śmiałem oku i wysmukłej postaci.

Zbliżyła się do rampy i zaczęła śpiewać. I w tej samej sekundzie, jak gdyby mi nagle powróciła pamięć, wiedziałem, do kogo była podobna.

Był to wcielony obraz Lei Péralli, tylko Jenny Hawkins była brunetką, a Lea jasną blondynką, wyższą i silniej zbudowaną.

Odkrycie to wywarło na mnie bardzo nieprzyjemne wrażenie. Odwróciłem się i rozejrzałem po sali widzów, aby nie widzieć więcej tego upiora, który teraz na drugim końcu świata ukazał się nagle przedemną, aby przywołać mi na pamięć te niesłychanie smutne okoliczności, wśród których opuściłem Francję. Jeżeli jej jednakowoż nie widziałem, to słyszałem jej głos i właśnie było to *Ave Maria*, które tak czysto i donośnie wdzierało się do mych uszu.

Dawniej słyszałem często Leę, gdy śpiewała, podczas moich wizyt u niej z Jakóbem. To, co teraz słyszałem, nie było jej dawniejszym głosem, to znaczy było nim, a jednak nim nie było, tak samo, jak twarz Jenny Hawkins była twarzą zamordowanej, a jednak w pewnych szczegółach od niej się różniła.

Ale jakże ta śpiewaczka mogła być tą Leą Péralli, którą przed dwoma laty zamordowano na ulicy Marboeuf, na osobie której spełniono zbrodnię, za jaką nieszczęsny Jakób de Fréneuse został zesłany do Numei!

Głupota! Widmo jakieś! Było to tylko przypadkowe spotkanie, które nie mogło posiadać żadnego znaczenia. Było to uczucie, które mogło mnie niepokoić przez cały wieczór i podczas przedstawienia, ale które zniknie natychmiast, skoro tylko spadnie zasłona.

Niestety jednak! Zauważyłem wkrótce, że ta okropna rzeczywistość, którą mi to podobieństwo przywołało na pamięć, była daleko trwalszą, a nic nie mogło jej usunąć, powracała z coraz to więcej potęgującą się siłą. Wzburzenie, jakie mną owładnęło przy ujrzeniu na scenie Jenny Hawkins, było tak wielkie, że chciałem raz jeszcze przypatrzeć się jej dokładniej. Spojrzałem znowu na śpiewaczkę.

Klęczała na klęczniku, piękną głowę ukryła w złożonych do modlitwy dłoniach, a oczy jej spoglądały błagalnie ku górze.

Zadrżałem po raz drugi i jeszcze wyraźniej niż za pierwszym razem, owładnęło mną uczucie, że widzę przed sobą żywą Leę Péralli.

Pewnego wieczoru, gdy Jakób pogniewał się z nią, klęczała w takiej samej pozie obok fotelu, na który rzucił się zgniewany Jakób. Oparłszy łokcie na krawędzi i złożywszy policzek na splecionych dłoniach, patrzyła na swego ukochanego z takim samym serdecznym, błagalnym uśmiechem.

Tutaj była ta sama twarz, ten sam ruch, ten sam wzrok i ten sam uśmiech. Czyż to było możliwem, aby mogło istnieć takie podobieństwo, już nie powiem cielesne, ale duchowe?

Owładnął mną nadzwyczajny niepokój. Zwróciłem się do naszego gospodarza i zapytałem:

— Znasz pan tę Jenny Hawkins?

— Zapewne, śpiewa już po raz trzeci w San Francisco i zawsze z olbrzymiem powodzeniem.

— Rozmawiałeś pan z nią kiedy?

— Naturalnie, kilkanaście razy, a bardzo często wtedy, gdy była kochanką mego przyjaciela Johna Lewisa-Daya, wielkiego handlarza złotem z Sacramento. Jest bardzo miła i uprzejma.

— Ile może mieć lat?

— Może dwadzieścia pięć. Na ulicy wygląda trochę starzej niż na scenie, ponieważ tam się nie maluje; życie takiej podróżującej artystki jest bardzo męczące i wpływa ujemnie na piękność kobiecą. Ale jest bardzo przyjemna i jeżeli pan sobie tego życzysz, to jej pana przedstawię.

Na myśl, że znajdę się oko w oko z tą kobietą, zaczęło mi serce bić okropnie i musiałem zblednąć w tej chwili, gdyż Pector rzekł z uśmiechem:

— Oh, jesteś pan łatwo zapalny, jak widzę. Na widok pięknej postaci zdajesz się pan odrazu tracić przytomność.

Ten żart Amerykanina dał mi czas do przyjścia do siebie, dlatego też ciągnąłem badanie dalej:

— Czy Jenny Hawkins mówi po angielsku bez żadnego akcentu?

— Mówi bardzo dobrze, ale wiesz pan przecież, że w Ameryce, tak samo jak we Francji, niektóre słowa wymawiają się zależnie od tego, z jakiej miejscowości ktoś pochodzi. Nie zdziwiłoby mnie też wcale, gdyby Jenny Hawkins pochodziła z Kanady; w wymowie niektórych słów czuć pewien francuski akcent.

— Mówi uderzająco dobrze po włosku..

— Oh, tego musiała się nauczyć ze względu na swój zawód. Wszystkie towarzystwa operowe, które tutaj przybywają, śpiewają albo po niemiecku, albo po włosku...

— Czy usposobienie ma wesołe?

— Przeciwnie, jest raczej melancholijną.

— A dzisiaj, czy ma na głowie perukę, czy też są to jej własne włosy? Czy jest naprawdę brunetką?

— Ależ szczególny z pana człowiek! Cóż to ma do rzeczy? Czy pan kochasz kobiety tylko wtedy, gdy mają pewną określoną barwę włosów? Wobec dzisiejszych doskonałych środków farbowania, można przecież włosom nadać barwę, jaką się chce! Chcesz pan jednak wiedzieć, co ja o tem myślę? Oto mojem zdaniem Jenny Hawkins posiada z natury ciemne włosy, które jednak przedtem farbowała na jasne...

(Ciąg dalszy nastąpi).

nazwisko piekarza żyda. Robotnicy piekarze u żydów są prawdziwymi niewolnikami, przywiązani do pracowni w świątek i piątek. Biedni ci robotnicy są przeważnie chorzy i zawczasu giną wśród wycieńczenia z pracy i męczarń.

Lecz prawda wśród tych godzin pracy robotnicy mają krótkie chwile odpoczynku. Gdy się bułki wyrabia, to spoczywa robotnik od pieca, a gdy bułki już są odrobione, to spoczywa „miszer.“ Ale jaki to spoczynek! Tylko w piekarniach Włoszyńskiego, Schirmera, Dudykiewicza, Merwarta i Czyżeka są sypialnie osobne; u innych robotnik kładzie się na worki, albo na deski, na których ciasto się wyrabia; płachty te, któremi się ciasto przykrywa, podściela pod siebie. Reczniki, na których się odstawia ciasto wyrobione na bułki, bierze sobie pod głowę, bo jakże tak na gołej desce głowę położyć.

Lecz i tego odpoczynku nie wszędzie robotnik może użyć. Są piekarnie, w których nie ma ani chwili odpoczynku w których od roboty do roboty pędzić musi, aby w 18 — 20 godzinach podołał swemu zadaniu, a gdy wreszcie podoła, to tak późno, że do domu spieszy, aby tych kilka wolnych godzin spędzić wśród rodziny i spocząć wygodniej, niż na twardej desce w piekarni.

Pojedynki.

Samobójstwo śp. Białoskórskiego, poruszyło cały Lwów, a powód jego, sprawa pojedynkowa, nasuwa na myśl wiele smutnych refleksyj na temat rozwielmożnienia się u nas fałszywego pojmowania spraw honorowych i prawdziwej manji pojedynkowej. Bardzo trafne w tej mierze uwagi zamieszcza *Kurjer lwowski*. Pisze on: Samobójstwo śp. Białoskórskiego zasługuje na bliższe rozpatrzenie z dwóch powodów: Po pierwsze bowiem przyczyny, które popchnęły a raczej zmusiły śp. Białoskórskiego do samobójstwa, są jednym więcej rysem, potrzebnym do charakterystyki obecnych, niemożliwych u nas stosunków, a powtóre, że wobec tych przyczyn samobójstwo okazuje się prostem morderstwem, społecznem morderstwem, popełnionem przez tych, co dla własnego, ciemnego interesu wytworzyli u nas specjalne pojęcie pojedynkowego „honoru“ i przez suggestjonowanie systematyczne lub przez terroryzm nawet, zmieniają je w przymus społeczny, w obłędną manję, które w razie konfliktu jakiegoś, umysły tak wrażliwe, jak śp. Białoskórskiego, prowadzą w prostej linji do tragedji.

Manja pojedynkowa, która od pewnego czasu zapanowała u nas we Lwowie, a którą podsycają jeszcze bezrozumnie niektóre dzienniki, notując skwapliwie w kronice wiadomości o odbytych pojedynkach, czem potęgują jeszcz suggestję społeczną, nie jest prostą tylko manją, czy chorobliwą modą: ale to formalna i systematyczna kampanja, prowadzona przez pewien gatunek, przez pewną klikę ludzi, którzy postępują jak dawniejsi raubritterzy, co uzbrojeni w tarczę i topór, czatowali po lasach na podróżnych, a każdemu, coby im zarzucił, że są rozbójnikami, odpowiadali — pojedynkiem!

Rozpowszechnienie się pojedynków we Lwowie jest w ścisłym związku z tymi wszystkimi brudami, które u nas od niedawna ustawicznie na wierzch wyłażą, z tym systemem społecznym, który się w gruzy teraz rozsypuje. Rycerze tego systemu chodzili i chodzą jeszcze po Lwowie, zamiast toporu i tarczy, uzbrojeni w pojedynkowe rapiery i kodeks „honorowy“ a jeśli ktoś za blisko zacznie grzebać w ich uczciwości, to odpowiedają wyzwaniem!

Wynik dla nich bowiem na każdy sposób musi być korzystny, gdyż albo wyzwany przyjmie pojedynek i bić się będzie i zostanie najczęściej pocięty, bo raubritter lwowski zwykle obeznać się stara z szermierką, a jeśli zaś sam otrzyma ranę, to i tak wraz z nią patent na „honorowego“ człowieka, albo odrzuci wyzwanie. A w takim razie występują na scenę dwaj przyjaciele wyzywającego raubrittera z piórem, kałamarzem, arkuszem papieru i kodeksem „honorowym“. Spisują oni skwapliwie protokół, że ich przyjaciel jest najczystszym wzorem honoru pod słońcem, a jego przeciwnik, to szubrawiec i „kanalja“, pozbawiona zupełnie tego „szczytnego“ poczucia. Spisują zaś ów dokument tem skwapliwiej, że są pewni, iż gdy na nich kolej przyjdzie do prania swego honoru, obsłużony przez nich przyjaciel na odwet im wystawi takie same świadectwo honorowości.

Tak więc — nie mówimy tu naturalnie o ludziach uczciwych i znawcach prawdziwego honoru, lub o wszystkich, którzy zasłynęli we Lwowie, jako szermierze — zawiązało się milcząco we Lwowie formalne stowarzyszenie indywiduów z pod ciemnej gwiazdy, które z podpisywanych sobie wzajemnie protokołów utworzyło formalny wał ochronny dla swego nadszarganego honoru, z protokołów, na które każą przysięgać publiczności, wmawiając w nią, że to są świętości społeczne, wyżej stojące nad zasady moralności, obowiązki społeczne, uczciwość i Bóg wie, co jeszcze. W ten sposób powstała chorobliwa suggestja tak silna, że wrażliwszy umysł bardzo często, jeśli nie może pogodzić swojego pojęcia o uczciwości z pojedynkowem raubritterstwem, nie upatruje innej drogi wyjścia z matni, jak samobójstwo!

Dziennikarza, którzy poważyli się rzecz napiętnować publicznie, adwokaci, którzy śmieli wnieść skargę, posłowie lub radni miejscy, jeśli podnieśli głos krytyki, nawet ludzie zupełnie prywatni, którzy jednakże trochę „za dużo“ wiedzieli, mieli zaraz na karku takich dwu „raubritterów“ z protokołem w ręku i żądaniem prócz „honorowej“ satysfakcji, aby zaprzestano pisać lub mówić o nich pod groźbą najsurowszych rygorów „honorowego“ kodeksu. W ten sposób wiele osób przez długi czas utrzymywało się na powierzchni towarzyskiej, tłumiąc wszelki głos krytyki.

Z tym rakiem społecznym trzeba raz skończyć Straszne samobójstwo ostatnie śp. Białoskórskiego, niech będzie początkiem otrząśnięcia się ogółu. Na grobie uczciwego, prawego człowieka, który nie mógł się oprzeć zgubnej, obłędnej suggestji, porośnie rychło trawa, ale rychlej jeszcze niechaj w społeczeństwie przyjmie się przekonanie, że prawość, obowiązek, moralność i uczciwość, to rzeczy wyższe i świętsze niż wszystkie pojedynkowe kodeksy na świecie!

KRONIKA.

Pamiętajmy o gimnazjum w Cieszynie!

Djarjusz lwowski.

Wtorek 9 maja.

Teatr hr. Skarbka: „Koziołki“, krotochwila. Początek o godz. $7^1/_2$ wieczorem.

O godz. 7 wieczorem w Czytelni katolickiej obchód na cześć Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Kalendarz. Wtorek (9): Grzegorza Naz. — Wschód słońca o godzinie 4 minut 35, zachód o godzinie 7 minut 19.

Egzamin z rachunkowości ogólnej, kupieckiej i państwowej złożyły wobec komisji egzaminacyjnej namiestnictwa następujące uczennice prywatnej szkoły p. Adolfa Stronera: panna Natalja Biernacka (z wyszczególnieniem), panna Zofja Brzeska, panna Stefanja Czerwińska, panna Helena Dzierzanowska, panna Stanisława Gwizdalska, panna Kazimiera Lang, panna Regina Lekczyńska, panna Helena Kinclówna, panna Marja Romanowska (z wyszczególnieniem) i panna Ema Trakówna (z wyszczególnieniem).

Samobójstwo. W sobotę w domu transportowym przy ulicy Gródeckiej, obok koszar artylerzyckich im. Ferdynanda odebrał sobie życie wystrzałem z karabina żołnierz 30 pp., Teodor Łagojda. Kula przebiła pierś i spowodowała śmierć natychmiastową. Jako przyczynę samobójstwa podają zniechęcenie do służby wojskowej, denat bowiem niejednokrotnie uskarżał się na nieznośne jarzmo służby.

Pomnik Fredry w Krakowie. Obywatel ziemski, p. Konstanty Wołodkowicz, wniósł do rady miejskiej w Krakowie pismo, w którem oświadcza, że ma zamiar przed gmachem teatralnym postawić pomnik znakomitego komedjopisarza Aleksandra hr. Fredry, który już nawet zamówił u Cyprjana Godebskiego. Rada wśród objawów uznania i zadowolenia list ten przyjęła do wiadomości.

Morderstwo czy samobójstwo. Ze Stanisławowa donoszą: Dnia 1 maja znaleziono na gruntach cegielni należącej do Dawida Bertischa położonej za rogatką na ul. Zosina Wola, zwłoki Semena N., 48 lat liczącego zarobnika rodem z Opryszowiec. Zachodzi podejrzenie, iż nieboszczyk zmarł wskutek pobicia go w czasie drugiego dnia ruskiej Wielkiejnocy.

Niszczenie lasów. Z powiatu pilzneńskiego piszą do *Przyjaciela ludu* co następuje: W powiecie naszym w sposób niesłychany niszczą lasy. Obecnie sprzedał żydowi las p. Tadeusz Rutowski, poseł do rady państwa, a to las młodziutki i tak piękny, że płakać się chce, gdy go tną. Tną go dopiero jakoś od marca, a ile tam tysięcy leży! Jeżeli to prawda, że sprzedał to p. Rutowski za 4500 zł. to żydowi ani po cencie nie wyjdzie sztuka, „a tu są takie coby chłop zapłacił i po 5 zł.“ Mowa tu o lesie w Głobikowej. Podobno Galic. Kasa oszczędności, która ma wierzytelność na tym majątku, poczyniła już stosowne kroki, aby zapobiedz dewastacji.

Pod grozą obłąkanego. Bawiąca na gościnnych występach w Berlinie wiedeńska diva operetkowa Ilka Palmay (hrabina Kinsky) znajdowała się tymi dniami w nielada niebezpieczeństwie, będąc zagrożoną przez zakochanego w niej warjata, niejakiego Franciszka Wirblera. Już od r. 1896 prześladował on ją listami, w których na wszystko w świecie upraszał ją o rendez-vous, na które naturalnie Ilka nie odpowiadała i nie była nawet ciekawą dowiadywać się, kto jest autorem tych gorących listów. Ale po prośbach nastąpiły groźby dość poważne, które śpiewaczkę skłoniły do okazania listów mężowi i ten udawszy się w towarzystwie ajenta policyjnego na miejsce naznaczone na schadzkę przez Wirblera, zastał tam istotnie młodego człowieka, który zachowaniem swojem na pierwszy rzut oka zdradzał człowieka o nienormalnych zmysłach. Gdy go mąż Ilki Palmay kazał go aresztować, zjawili się w domu śpiewaczki rodzice Wirblera i dowiódłszy, że syn ich niedawno z domu dla obłąkanych został wypuszczonym i że jest w najwyższym stopniu neurastenikiem, skłonili Ilkę prośbami, że Wirblera na wolność wypuszczono, a rodzice wyprawili go do Berlina na stały pobyt.

Przez parę miesięcy miała śpiewaczka spokój, względny co prawda, bo od czasu do czasu warjat zasypywał ją swoimi listami i telegramami z Berlina, analogicznej treści, jak poprzednio w Wiedniu. Tymczasem wyjechała Ilka na występy do Berlina w Wintergarten i po paru listach z czułą prośbą o schadzkę, które bez odpowiedzi zostawiła, dostała pewnego dnia list, że jeżeli nie stawi się o tej a o tej godzinie w hotelu centralnym, to niech się Bogu poleci zawczasu. Ilka zawiadomiła o tem natychmiast policję, prosząc zarazem o dodanie jej stałego detektywa, którby ją strzegł od ewentualnej napaści. Policja rozesłała ajentów na wsze strony i po paru dniach udało się im schwytać Wirblera i uczynić nieszkodliwym. Skonfrontowany ze śpiewaczką i badany w jej obecności, odmówił wszelkich wyjaśnień, przed urzędnikiem policyjnym przyznał się jednak, że miał postanowienie zasztyletować Ilkę. Nieszczęśliwy pójdzie niewątpliwie znowu do domu warjatów; — charakterystycznem jest jednak, że Ilka Palmay ma szczególne szczęście do obłąkańców, jest to już bowiem trzeci z kolei, który jej groził.

Cała wieś przeszła na protestantyzm. Hasło „*los von Rom*“ zaczyna już nie na żarty wydawać swe zatrute owoce. Oto świeżo donoszą z Haagi do *Gazety kolońskiej*, iż cała gmina Lichtenwald przeszła z wyjątkiem 5 rodzin na protestantyzm. Odstępców tych naliczono około 500 głów.

Śmierć przez ostrygi. Pewien bardzo bogaty kapitalista z Boppard podczas podróży, którą odbywał po Włoszech, spożył skromną ilość ostryg, po których spożyciu uczuł się niezdrów. Natychmiast tedy postanowił wrócić do domu. Śmierć jednak nielitościwa przecięła pasmo jego dni, zanim zdołał powrócić do domu. Lekarze orzekli, że ostrygi były mocno nieświeże i one właśnie stały się powodem śmierci.

Tragedja rodzinna. Z Budapesztu telegrafują do *Wiener Tagblattu*, iż żona jednego z tamtejszych szewców, nazywającego się Bogya, opuściwszy dom męża z pięciorgiem dzieci wczoraj doniosła mu, iż po napisaniu listu rzuca się do Dunaju wraz z wszystkiemi dziećmi. Mąż doniósł o wszystkiem policji, ta jednakowoż mimo energicznych usiłowań nie zdołała odszukać desperatki, ani też jej zwłok w rzece.

Nieszczęśliwy skok linoskoczka. Tancerz na linie, Hardy, prawdziwy mistrz w swoim zawodzie, podczas ostatniego przedstawienia w Alexandra-Palace w Londynie, skoczył z taką siłą na wyprężoną pod rekiem sieć, iż ta pękła a Hardy spadłszy na parkiet poniósł liczne ciężkie uszkodzenia ciała, skutkiem czego przez dłuższy czas nie będzie mógł się produkować.

Samobójstwo ucznia. W Budapeszcie odebrał sobie życie ubiegłej nocy 16 letni gimnazjalista, Adolf Bock, syn handlarza meblami. Powód samobójstwa dość szczególny, bo skutkiem wyłapania denata przez ojca na paleniu papierosów i obawy przed chłostą.

Międzynarodowy kongres weterynarzy odbywać się będzie od 7 do 12 czerwca r. b. w Baden-Baden.

Szczególne wyzwanie. Amerykańska szansonistka miss Deyer, goszcząca na występach w Atenach, wyzwała na pojedynek tamtejszego konserwatora zabytków starożytności p. Cavadię, za to, że jej nie dozwolił wystąpić i śpiewać na Akropolis. Naturalnie, że Cavadia wyzwania nie przyjął i prawdopodobnie za ten czyn nie stanie przed sądem honorowym.

Ponury ładunek wiezie amerykański parowiec „Morgan City“, płynący z Manili do San Francisko. Na jego pokładzie znajduje się 300 hermetycznie zamkniętych trumien ze szczątkami 300 oficerów i szeregowców, którzy dotychczas spoczywali do snu wiecznego w pobliżu Manili. Po przybyciu do San Francisco nieboszczycy zostaną odstawieni do miejsc rodzinnych na koszt państwa.

Znaczny zastęp reprezentacyj gminnych w powiecie przerowskim i littowlańskim, na Morawie, wysłał do księcia arcybiskupa ołumunieckiego dra Kohna petycję, aby bierzmowanie tegoroczne wyznaczył w innem mieście, a nie w Ołomuńcu, gdyż ludność czeska nie chce popierać miasta, którego reprezentacja jest dla Czechów wrogo usposobioną. Petycja kończy się zapewnieniem, że gdyby arcybiskup nie chciał uwzględnić prośby, rodzice czescy nie pozwolą w tym roku swym dzieciom przystąpić do bierzmowania.

Rosyjskie wychodźtwo na Syberję. Zestawione świeżo w Petersburgu wykazy osób, które na Syberję z Rosji wyemigrowały, podają, iż w ciągu ostatnich lat 17 (1882—1899), nie mniej, jak 1,150.095 poddanych carskich płci obojej przeniosło się z Rosji europejskiej do północno-azjatyckiej.

Zgon misjonarza austrjackiego. W Zanzibarze uległ niedawno temu strasznej dla Europejczyka chorobie, żółtej febrze, młody misjonarz z Austrji, Karol Reuss, rodem z Bielska. Po ukończeniu swej służby wojskowej przy artylerji, zapragnął zmarły poświęcić się misjonarstwu, w tym celu udał się do szkoły misjonarskiej w Limburgu i przed 3 laty odszedł stamtąd do Afryki. Nieszczęsny nabawił się tam wkrótce żółtej febry i ona go zabiła przedwcześnie.

Meteor. W bliskości Helsingforsu w miescowości Bjurböle spadł w tych dniach największy ze znanych aërolitów. Waży tysiąc kilogramów, a średnicy posiada 60 do 70 centymetrów. Składa on się z szarej wulkanicznej masy, w której znajdują się gładkie okrągłe ciała oraz ziarnka oliwiny i różnych metali. Część meteoru powleczona szklistą warstwą, grubą kilka centymetrów.

Piękność. Najnowszą pięknością paryską jest panna Ernestyna Coureaux, którą malują teraz wszyscy malarze nowożytnego Babilonu. Jeszcze przed kilku miesiącami piękność ta wiodła skromny żywot w jednym ze skromnych magazynów przedmiejskich, pracując na życie po szesnaście godzin na dobę. Widywano ją nieraz jasnowłosą i błękitnooką — a przecież nikt się nią nie interesował dopóty, dopóki nie przyszło jej na myśl uczestniczyć w konkursie piękności. Uciułała sobie kilka franków na zapłacenie wstępu, a w oznaczonym dniu otulona w obcisły płaszczyk, w skromnej sukience z pąsową różą we włosach, jako jedyną ozdobą, weszła do sali. Przywitał ją szmer podziwienia. Na twarzyczce niewinnego dziewczęcia zakraśniał delikatny rumieniec, czyniąc ją jeszcze bardziej podobną do bohaterki „Fausta.“ Tego jeszcze samego wieczora wiedział cały Paryż, że Ernestyna Coureaux otrzymała pierwszą nagrodę na konkursie piękności. Minęły smutne dni, a zastęp wielbicieli otoczył dziewczynę. Ernestyna poszła na scenę i podbiła serca. Jej nieporównana piękność wynagradza zupełny brak talentu.

Napad kruków na człowieka. Nadzwyczajny, zaledwie do uwierzenia, wypadek przytrafił się w miejscowości Royameix w pobliżu Paryża. Był to napad zbiorowy kruków na człowieka. Jakby na dane hasło, niezliczone mnóstwo ptaków rzuciło się na rybaka, który po szczęśliwym połowie, z workiem pełnym ryb w ręku powracał do domu. Kruki zwietrzyły smaczne kąski, a nie mogąc się do nich dostać, postanowiły łup rybakowi odebrać. Natarcie było zgodne i wykonane z taką siłą, iż człowiek w walce tej z setkami ptaków rady sobie dać nie mógł i uległ. Kruki zaczęły najpierw uderzać dziobami w worek, kiedy zaś człowiek ryb nie puszczał, ptaki skrzydłami uderzały na niego; naprożno bronił się rękami, zasłaniał i krzyczał, coraz większa ilość kruków nadlatywała zewsząd i kaleczyła go dziobami.

Poraniony, zmęczony, w strasznym o siebie strachu, rybak zaczął uciekać ku wiosce. Byłby jednak z życiem może nie uszedł przed skrzydlatymi rozbójnikami, gdyby nie rzucił worka; ryby wysypały się z niego, a kruki pomiędzy siebie zdobycz podzieliły. Ciężką niemocą przepłacił rybak to spotkanie z ptakami, które pozazdrościły mu łupu, odbiły go i jeszcze krwawą pozostawiły pamiątkę.

Parlamentarne intermezzo. W angielskiej izbie gmin, gdzie się obecnie na śmierć zanudzić można, zaszedł ubiegłego czwartku zabawny wypadek, którego sprawcą był master Dillon, trzyletni synek jednego z naczelników opozycji irlandzkiej Johna Dillona. Przy pierwszym swym parlamentarnym wystąpie okazał się godną latoroślą od pnia rodzinnego. Właśnie w izbie wrzało życie polityczne w pełnym ruchu. Pytania i odpowiedzi krzyżowały się a Mr. William Powell, sekretarz finansowy ministerstwa wojny, mówił, dając jakieś wyjaśnienia, gdy nagle zabrzmiał srebrny głosik dziecka: „Mamo, jakże tu wiele panów!“ Oczy wszystkie skierowały się ku galerji, gdzie spostrzeżono, wyciągniętą przez kratkę małą rączkę w białej rękawiczce. Ponieważ twarzyczki nie było widać, przeto ten i ów przyznawał się do dziecka i nikt już nie słuchał wśród gwaru wywodów sir Parnella. Jedyny Sergeant-at-Armes — któremu w izbie powierzone jest utrzymanie spokoju, nie stracił na swej powadze. Jakby konstytucja Albionu miała być w tej chwili zagrożoną, podniósł się z miejsca, dobył oręża i zwracając się do podwładnych, wyrzekł sakramentalne: „*Remove that stranger.*“ Mały Dillon musiał opuścić galerję, jak swego czasu jego ojciec salę obrad pod naciskiem gwałtu, nie bez głośnego jednak protestu: „Mamo, ja chcę także mówić! — ja chcę mówić!“ — Swoją drogą, żaden „obcy“ dotychczas nie zdobył sobie tak rychło i zupełnie sympatji izby gmin, jak mały Dillon.

Talmi-Madjarzy. Simon Telkes, radca w ministerstwie spraw wewnętrznych węgierskiem, zestawił wykaz „zmadjaryzowanych“ w roku 1898. Znalazło się w tym wykazie 6.722 osób, które wyparły się nazwiska swych przodków, a przyjęły węgierskie; między niemi znalazło się 2.379 żydów, a więc trzecia część. Wedle stanu i zajęcia było: żandarmów 101, policjantów 16, żołnierzy 32, księży 13 i 1 zakonnica, nauczycieli 116, lekarzy 58, adwokatów 10, dziennikarzy 7, rzemieślników 38, robotników 50, a ani jeden rolnik. Najwięcej zmienionych nazwisk, bo 3 382 znajdujemy u urzędników kolei, poczty i telegrafu. Znakomicie się więc powiększa „narodowość“ węgierska, nie ma co mówić!

Mianowania. Sąd krajowy wyższy w Krakowie zamianował auskultantem sądowym praktykanta sądowego Henryka Doeninga.

Z miasta. Prawdziwą powódź kradzieży piwnicznych, notują protokoły policyjne. Wczoraj np. na ul. Staszica, złodzieje splądrowali aż 8 piwnic, okradłszy jedną do szczętu. Podobny los spotkał karczmę Pepi Pordesa na Wulce, gdzie rabusie dostawszy się nocą przez otwór wybity w murze od ogrodu, zabrali wraz z sobą wszelkie tam znajdujące się alkohole i tytonie. Sprawcy nieznani.

Izrael Tepper z Knichini, donosi tutejszej policji o ucieczce swego praktykanta Wolfa Izesnera, który zbiegł zabrawszy z sobą 50 zł.

Każdego nowego intruza, wita gromada żebracza, stołująca się u furty OO. Dominikanów, nienawiścią słowną i czynną. Przekonała się o tem wczoraj żebraczka Ruszkiewicz, która zjawiwszy się tam z swym garnuszkiem została tak srodze obitą przez tamtejszych „stammgastów“, iż ją pogotowie opatrzyć musiało.

Dziecko za $1^1/_2$ marki sprzedali małżonkowie Johann i Margareta Schad, wyrobnicy we Friesenhausen pod Holheim, w okolicy Franfurtu n. M. W czasie zapustnym przebywała w owej wiosce trupa linoskoków. Spółce tej imieniem Traber świadczyli pono Schadowie gotowość sprzedania dziecka własnego, liczącego dopiero 5 miesięcy; i rzeczywiście przyszło do piśmiennego układu, wedle którego Traber za cenę jednej marki i 50 fenigów, czyli 90 ct., uzyskał prawo rozporządzania dzieckiem tak jakby swojem aż do 20 roku jego życia.

Bardzo często znaleść można po dziś dzień w ogłoszeniach większych dzienników niemieckich, że takie a takie dziecko jest do podarowania. Zdaje się jednakowoż, że po raz pierwszy sprzedano dziecko za $1^1/_2$ marki i to w Niemczech, stojących niby na tak „wysokiej“ kulturze.

Trzechsetna rocznica urodzin Cromwella, jaka przypadała na 25 kwietnia br. budzi wspomnienia o tym potężnym „lordzie protektorze“, który był nie tylko „królobójcą“, ale również tym, który w czasie swego krótkiego panowania położył podwaliny potęgi angielskiej. O życiu i działalności Cromwella, krąży mnóstwo legend. Rodzina Cromwella była przez matkę spokrewnioną ze Stuartami i dla tego też może Jakób I Stuart gościł w r. 1603 u ojca Cromwella w Huntingdon. Piąty syn domu, Oliwier, wówczas czteroletni chłopiec posprzeczał się z trzyletnim Karolem Stuartem, a skończyła się ta sprzeczka walką na pięście. Że z niej syn królewski wyszedł z zakrwawionym nosem, uważane jest za przepowiednię, że w piędziesiąt lat później Oliwier Cromwell wysłał Karola I na szafot. Spokoju jednak nie znalazł Cromwell i w grobie. Po przywróceniu Stuartów, wydobyto na rozkaz Karola II, syna straconego na szafocie Karola I, zwłoki Cromwella, jego matki i córki, i powieszono ja na szubienicy. Tak sądzili Stuarci, wtajemniczeni jednak wiedzieli lepiej, że tak nie było. Tylko nie wielu wiedziało, że wiszące na szubienicy zwłoki nie były zwłokami Cromwella, lecz Karola I. Gdy Cromwell leżał na śmiertelnej pościeli — tak sądzi dziś jeszcze lud — prosił swych zaufanych, aby się postarali o to, aby jego ziemskie szczątki uchronili przed zemstą Stuartów. I tak się stało. Jeden z wtajemniczonych chirurgów musiał po otworzeniu trumny królewskiej, przyszyć głowę ściętego króla do tego tułowiu. Potem zwłoki króla wyjęto z trumny, a włożono do niej zwłoki Cromwella. Ścięty król spoczął w trumnie Cromwella. W ten sposób stało się, iż Karol II powiesił na szubienicy swego nieboszczyka ojca, a królobójca spoczął w grobowcu Stuartów.

Epizod z podróży królewsk. pary włoskiej. Z Rzymu donoszą dzienniki o następującem zajściu, które wydarzyć się miało w czasie podróży królestwa włoskich do Sardynji. Król Humbert, w przejeździe do Maddalena, zatrzymał się w Caprera, aby odwiedzić grób Garibaldiego. Powitała go tu cała rodzina Garibaldich z Menottim na czele. Król przybywszy przed grób, zdjął kapelusz i rzekł, że chciał oddać hołd pamięci przyjaciela swego ojca. W tej chwili przystąpiła do króla córka Garibaldiego Teresita Canzio i rzekła: „Najjaśniejszy panie! U grobu mego ojca błagam cię, ułaskaw politycznych skazańców!“ Król był zaskoczony tym epizodem; odrzekł jednak, że ten akt łaski jest i jego pragnieniem i że skorzysta niebawem z odpowiedniej sposobności. Chodzi tu o zasądzonych z okazji zeszłorocznych rozruchów dziennikarzy, między innymi redaktora medjolańskiego *Osservatore Cattolico*, ks. Albetrario.

Chińskie grzeczności. Próbki chińskich komplementów i uprzejmości doświadczyli na sobie księstwo Henrykostwo pruscy, gdy podczas swego pobytu w Szangaju odwiedzili pewnego mandaryna. Ów dostojnik zapytał naprzód o lata księcia Henryka, na co tłómacz tego ostatniego, p. Voigt ze Szczecina, odpowiedział, że książę ma lat trzydzieści sześć. Odpowiedź Chińczyka brzmiała:

— Wyglądasz, jak gdybyś miał lat pięćdziesiąt.

Ma się rozumieć, miało się to odnosić nie do zewnętrznego wyglądu, lecz do zalet umysłu.

Następnie mandaryn zwrócił się z tem samem pytaniem do księżnej, a gdy usłyszał, że ma lat trzydzieści dwa, coś na to powiedział, czego tłómacz powtórzyć nie mógł widocznie, na twarzy jego bowiem odmalowało się wielkie zakłopotanie. Ale książę Henryk, obznajomiony już potroszę z mową chińską, zrozumiał był o co chodzi i mrugając na dragomana, rzekł:

— No, no, nie krępuj się, panie Voigt, mów śmiało.

Biedny tłómacz wykrztusił wreszcie:

— Wyglądasz na lat sześćdziesiąt.

Książę roześmiał się serdecznie i rzekł do żony:

— Nie miałem cię za taką starą.

I księżna była wielce ubawiona komplementem Chińczyka.

Nowi prenumeratorowie otrzymają za dopłatą 30 ct. (na koszta przesyłki) początek powieści Marji Rodziewiczównej pt. „Magnat“.

„Dziennik Polski“ prenumerować i pojedynczo kupować można w sklepie korzennym p. Czarneckiego, przy ul. Łyczakowskiej.

---

* **I. lwowski klub cytrzystów** urządza dnia 10 maja 1899 roku o godzinie 7 wieczorem we własnym lokalu przy ulicy Sokoła l. 3, zebranie inauguracyjne celem bliższego zapoznania się członków, na które wydział uprzejmie tychże zaprasza. — Nauka gry na cytrze dla członków odbywa się w lokalu klubu pod artystycznem kierownictwem p. Wł. Mańkowskiego po cenie zniżonej. Wszelkich informacyj udziela wydział codziennie między godziną 4 a 6 popołudniu.

* **„Skała“** urządza uroczysty obchód 108 rocznicy wiekopomnej konstytucji 3 maja, który odbędzie się we czwartek dnia 11 maja 1899 roku. Program obchodu ułożony jest bardzo szczęśliwie i udatnie.

* **Dr. Emil Silberstein**, znany we Lwowie lekarz, wyjechał w celach naukowych do Berlina.

Składki na cele użyteczności publicznej lub narodowej.

Na szkołę polską w Białej nadesłał do naszej administracji: wydział rady powiatowej w Rudkach, tytułem jednorocznej subwencji 20 zł.

Zmarli:

Aniela ze Swaryczewskich Franke, żona radcy dworu i inspektora szkolnego, zmarła we Lwowie, przeżywszy lat 49. Pogrzeb odbędzie się we wtorek o godzinie 3 popołudniu z domu żałoby przy ulicy Bielowskiego l. 5.

W Krakowie zmarła Marja z Szynglarskich Siemsenowa, żona urzędnika kolejowego, lat 35.

Marja z Vererów Herdliczka, wdowa po kontrolorze kasy głównej, zmarła w Krakowie.

Jadwiga z Bartosińskich Zahorowska, zmarła we Lwowie w 27 r. życia.

Antoni Rybotycki, starszy kasjer pocztowy, zmarł we Lwowie w 60 r. życia.

Jan Nawrocki, emeryt. rewident krajowej dyrekcji skarbu, zmarł we Lwowie w 69 r. życia.

Bronisław Wroński, współwłaściciel handlu futrami we Lwowie, zmarł w Gorlicach w 42 roku życia, wskutek influenzy i zapalenia płuc. Pogrzeb odbył się wczoraj w Gorlicach.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatralny. W teatrze hr. Skarbka: Dziś we wtorek po raz drugi „Koziołki“, krotochwila w 3 aktach Pawła Hirschbergera i Curta Kratza, tłómaczył Adolf Kiczman; jutro w środę „Dama kameljowa“, dramat; we czwartek popołudniu o godzinie pół do 4 „Małka Szwarcenkopf“, sztuka ze śpiewami i tańcami w 5 aktach Gabrjeli Zapolskiej; wieczorem o godzinie pół do 8 „Koziołki“, krotochwila; w piątek „Urzędowa żona“, sztuka.

Z TEATRU.

Bardzo udatny, żywy i prawdziwy szkic z życia robotników w kopalniach Dąbrowy górniczej (w Królestwie polskiem) rzucił autor, kryjący się pod pseudonimem **Maskoffa** na scenę. Obrazek ten — typowy — ujrzeliśmy wczoraj na scenie lwowskiej i szczerze przyklaskiwaliśmy artystom, którzy wszyscy z wielką prawdą odtworzyli naszkicowane w tym obrazku postacie. Rzecz idzie o to, że wśród robotników kopalnianych trwa zmowa, do której stary górnik przystąpić nie chce, dbając o los przyszły swej chorej żony i córki; — nie chce przystąpić do strejkujących i dlatego jeszcze, że (jak mu się zdaje) młody sztygar namawiający do zmowy, bałamuci mu córkę. Rzecz rozwiązuje się na scenie aresztowaniem sztygara przez kapitana żandarmów.

Obrazek wykrojony z życia i żywo na scenę rzucony, prawdziwie też odtworzyli wczoraj na scenie artyści nasi, którym rzetelne za to uznanie. W pierwszym rzędzie postawiłbym tu p. Chmielińskiego, który i pod względem charakterystyki zewnętrznej i pod względem wymowy (akcentu) oddał rolę swą — starego górnika — doskonale. Niemniej charakterystycznym, stylowym był p. Antoniewski w roli kapitana żandarmów.

Rolę ciężką chorobą złożonej żony górnika i córki jego oddały panie Lasocka i Czaplińska z całem odczuciem i dostosowaniem się do *ensemblu*. Toż samo powiedzieć można o p. Wostrowskim, który grał rolę młodego sztygara, rzekomo podejrzanego.

Jeszcze słowo: fejleton ten sceniczny przyjęła publiczność, która zapełniła teatr, nadzwyczaj życzliwie i z pewnem wzruszeniem. Były przeciągłe oklaski dla artystów były i kwiaty rzucane na scenę dla autora odczuwającego bole swego społeczeństwa. *(R. P.)*

Z sali koncertowej.

Uroczysty wieczór ku uczczeniu 80 rocznicy urodzin St. Moniuszki, urządzony w niedzielę przez gal. Towarzystwo muzyczne pod kierunkiem dyr. Schwarza, miał w programie oprócz odczytu p. Niewiadomskiego p. t. „Pieśń polska i Stanisław Moniuszko“, kompozycje Moniuszki mało lub wcale u nas nie znane, jak np. wyjątki z kwartetu smyczkowego i kantaty p. t. „Milda.“ Odczyt zaznajomił słuchaczów ze stanem pieśni polskiej przed Moniuszką, przytoczył wybitniejsze jej objawy z owego okresu i nazwiska autorów z podaniem ich charakterystyki, wykazał, że dopiero od Moniuszki poczyna się istnienie właściwej pieśni polskiej, nazwał go Schubertem polskim — wymienił najlepsze jego dzieła w tym dziale kompozycji, wreszcie podniósł ważną cechę charakteru Moniuszki, który nie chciał przekroczyć granic twórczości, jakie mu dobrze oceniony talent własny zakreślił.

Piosnki „O Zosi sierocie“ i „Rybka“ w wdzięcznem wykonaniu p. M. Pawlików-Nowakowskiej rozpoczęły część ściśle muzyczną „Wieczoru.“ W dalszym ciągu przyłączyły się do nich wyjątki z pierwszego kwartetu smyczkowego, ujmujące swą naturalnością, prostotą i nieszukaną płynnością melodji, a wykonane przez kwartet smyczkowy Tow. muz. (po dwakroć osierocony na punkcie obsady partji altówki, zastępujący bowiem pierwszego wiolistę, p. Jakla, p. Słomkowski, dał się również zastąpić...) — pieśń p. t. „Maciek“, w wykonaniu muzykalnem i ujmującem pięknymi, zwłaszcza niskimi tonami p. Niżankowskiego, a uzupełniły ten program, mający ze wszech stron przypomnieć działalność Moniuszki, wykonane z temperamentem przez p. V. Kurza melodyjny „Walc elegijny“ i piękny „Polones Es-dur“ na fortepian. Moniuszko, jako kompozytor utworów chóralnych znany nam dobrze, to też i wyjątki na chór mięszany z „Mildy“ nie budziły już takiego zajęcia, zwłaszcza, że dzieło to świeże w „chórze wiejskim“ i „modlitwie“, mimo dobrego wykonania, w „Epilogu“ znużyło słuchacza monotonją rytmu i brakiem znacznym treści muzycznej. „Wieczór“ niedzielny zadanie swe, żeby uczcić pamięć najpłodniejszego i najmelodyjniejszego pieśniarza polskiego, osiągnął w zupełności; pieśń też Moniuszki w przeważnej części programu w wykonaniu starannem solistów i chóru najbardziej przemówiła do słuchacza. Podając ustępy muzyki instrumentalnej Moniuszki, organizatorowie wieczoru słusznie bardzo zwrócili uwagę słuchaczów i na tę stronę twórczości autora Śpiewników, Oratorjów i Oper. *Mi. Sol.*

Ljalin, znalazca Andréego.

Kopenhaga 6 maja.

Dr. Martin, którego wysłał król Oskar szwedzki, aby zarządził poszukiwania za Andréem i jego towarzyszami podróży, powrócił przed kilku dniami, a to, co opowiada o słynnym myśliwym i niemniej wyrachowanym handlarzu futer, Ljalinie i o jego historji znalezienia trzech trupów z balonem, nie pozbawione jest pewnego humoru.

Gdy Ljalin przedstawił się po raz pierwszy dr. Martinowi w domu br. Aminowa, był ubrany w elegancki czarny angielski surdut i zapytał, czy dr. Martin mówi po francusku. Wiadomości, jakich udzielił temu ostatniemu, były bez najmniejszej wartości. Wieść o zwłokach trzech ludzi, znalezionych w kraju Tunguzów, utrzymywała się już dawno. Ljalin słyszał o tem niejednokrotnie, aż nareszcie zdecydował się donieść o tem do Europy.

Oświadczył, iż list swój napisał w chacie pewnego Tunguza, co jednak w następstwie okazało się kłamstwem. W Krasnojorsku, w hotelu rosyjskim, słyszał Ljalin, jak redaktor gazety *Jenisslej* opowiadał o liście Jakowlewa, który pierwszy napisał list o znalezieniu zwłok trzech ludzi, aby sobie zakpić ze świata w porozumieniu z jednym ze swoich znajomych w Krasnojarsku. Ljalin, usłyszawszy to, zażądał natychmiast papieru i pióra i zaczął pisać.

Gospodarz hotelu jest przekonany, że Ljalin napisał ów słynny list do syberyjskiego dziennika i w ten sposób wprowadził w ruch całą prasę europejską.

Gdy dr. Martin czynił mu wyrzuty, iż nie udał się natychmiast na miejsce, aby rzecz zbadać u źródła, odparł Ljalin, iż nie miał dosyć żywności, a prócz tego jako zesłany na osiedlenie nie mógł otrzymać paszportu.

O powodach jego zesłania na Sybir, mówią najrozmaiciej. W Tomsku, gdzie mieszkał przez lat dwanaście, znany jest Ljalin jako blagier pierwszej wody, pomimo tego jednak przyjmowany jest w najlepszych kołach miasta, a u gubernatora jest częstym gościem.

Dr. Martin kończy swoje sprawozdanie następującemi słowy: „Niemożliwą jest rzeczą powiedzieć, czy Ljalin rzeczywiście coś wie, czy też jest to najbezczelniejszy w świecie oszust i blagier". *K. A.*

Romantyczni Anglicy.

Amsterdam 5 maja.

W zeszłym roku przybył tutaj pewien dziennikarz angielski, którego umysł musiał trochę ucierpieć w powodzi uroczystości koronacyjnych i który wskutek tego stał się do pewnego stopnia sławnym. Ośmielił się bowiem podać ramię królowej, gdy ta wsiadała do pociągu, który ją z Haagi miał zawieść do domu. Naturalnie nieostrożnym młodzieńcem zajęła się natychmiast policja, której się przyznał, że owładnęła nim gwałtowna miłość do młodej królowej. Na wyraźne życzenie tej ostatniej, policja obeszła się bardzo łagodnie z zapalonym wielbicielem *Ons Willimintje*, jak tu powszechnie nazywają młodą królowę.

Przed kilku dniami znown dwóch angielskich turystów postarało się o to, aby o nich w ten sam sposób mówiono, a jeden z nich, prawdopodobnie mniej winny, opłaci swój nierozsądek bardzo drogo zapewne.

Obydwaj ci synowie Albionu znajdowali się w Rotterdamie, gdy starszemu z nich wpadło na myśl, że ze względu na swoją istotnie przystojną powierzchowność, ma właściwie najlepsze widoki wywarcia wrażenia na młodą królowę. Nie namyślając się długo, wsiadł na Pegaza i uciął sobie kilkadziesiąt marzycielskich rymów i wysłał ten poemat pod adresem królowej. Niecierpliwie czekał w Rotterdamie na odpowiedź królowej — jej jednak jakoś nie było.

Rozkochany Anglik uciekł się do rymowanych telegramów, a gdy i te nie odniosły żadnego skutku, wybrał się ze swoim przyjacielem w podróż do Haagi. Przybywszy tam, polecił swemu towarzyszowi, aby się udał do pałacu i dowiedział się, czy jego listy i depesze zostały oddane pod właściwym adresem.

Młody Anglik wykonał polecenie co do joty i ku swemu niemałemu zdziwieniu został aresztowany.

Gdy romantyczny wielbiciel dowiedział się o wyniku swego poselstwa i niespodziance, jaka spotkała posła, uznał za stosowne spakować czemprędzej manatki i ulotnić się bez śladu. Pan poseł zastanawia się teraz w kozie nad tem prawdopodobnie, czy warto odgrywać rolę *postillon d'amour* między synem Albionu, a królową holenderską. *A. M.*

Ohydna zbrodnia.

W dalszym ciągu o tej ohydnej zbrodni donoszą nam z Wiednia następujące bliższe szczegóły: Chociaż Kopetzky wypiera się swej zbrodni, a nawet rzucił podejrzenie na swego kolegę w warsztacie czeladnika Konrada, który atoli przesłuchany na policji udowodnił swe *alibi*, udało się policji zebrać tyle dowodów, iż nie ma już prawie wątpliwości, że zbrodnię tę popełnił Kopetzky. Oprócz wyliczonych już wczoraj poszlak, znaleziono jeszcze plamy krwi w kieszeni jego surduta, który miał na sobie w poniedziałek, a nadto pewien czeladnik murarski zeznał, iż widział go w poniedziałek między godz. 4 a 5 po południu, a więc w czasie, w którym popełniono morderstwo, wychodzącego z owej komórki, gdzie znaleziono zwłoki Winterówney.

Żona owego czeladnika Musila prała wraz ze stróżową domu bieliznę w praczkarni, leżącej obok owej komórki. Między godz. 4 a 5 po południu Musil przyszedł odwiedzić swą żonę i gdy szedł ku praczkarni, tuż przed komórką spotkał się twarz w twarz z jakimś wysokim mężczyzną, wychodzącym z komórki. Skonfrontowany wczoraj z Kopetzkym, poznał w nim z całą stanowczością owego człowieka, który w poniedziałek po południu wychodził z komórki.

Mimo tych dowodów Kopetzky zaprzecza swej winy, a nawet przy przesłuchaniu zachowuje się wyzywająco. Policja atoli jest przekonaną, że on jest mordercą i odstawiła go do sądu karnego.

Matka biednej ofiary zdziczałego zbrodniarza, Winterowa, leży chora. W gorączce majaczy ustawicznie o swem biednem dziecku. Stan jej jest taki, iż dotychczas nie można było jej przesłuchać.

Goldstern & Löwenherz.

Lwów 5 maja.

Potem zaczęło się przesłuchiwanie świadków. Dziś przesłuchano ich czterech; najważniejszym był młody Rauch, jeden z synów zmarłego w r. 1891 właściciela młyna sokalskiego. Zeznawał on na korzyść Löwenherza, w tym mianowicie kierunku, że „punktacje" firmy ze spadkobiercami Raucha Goldsternowi były dobrze znane, oraz, że Goldstern „zdaje się prawdopodobnie być może" wiedział, iż kwotę 70.000 (a nie 130.000) z pasywów młyna przepisano jako aktywa, czyli dług należący się od Goldsterna. Że wdowie po Rauchu wyznaczono tak wysoką pensję, to miało powód w tem, że Rauchowa miała pretensję do młyna w kwocie 16.000 zł. Zdaniem świadka Löwenherz miał podstawę do wkładania w młyn pieniędzy, gdyż po zmianie konjuktury młyn ten od 3 lat przynosi wielki dochód. Tak samo prawie zeznawał drugi brat Rauch.

Świadek Rapoport, kłapciasty żyd z Podwołoczysk, staruszek w pięknej jarmułce, obdarzony śliczną srebrzystą brodą, wzbrania się złożyć przysięgi, podobno wskutek panującego u żydów „przesądu," który im każe o ile możności unikać przysięgania w sądzie. Dopiero na prośby prokuratora zbliża się Rapoport do tory i drżąc na całem ciele powtarza za przewodniczącym słowa przysięgi, przyczem służący musi całą siłą przyciskać do tory dłoń świadka, którą on ciągle cofa jakby odpychany jakąś siłą elektryczną. Zeznania swoje składał Rapoport w czystym żargonie żydowskim.

Rozprawę przerwano do poniedziałku.

Lwów 8 maja.

Dziś przesłuchiwano Webera, byłego prokurzystę firmy we Lwowie, a potem w zakładzie komisowo-zbożowym w Odessie. Wyjaśnił on dość dokładnie jaki był stosunek obu firmantów do siebie. Owóż Goldstern był wprawdzie człowiekiem niesamodzielnym, kiwał tylko na wiele rzeczy głową jak paguda chińska i rad zaciągał rady Löwenherza, znał jednak dokładnie stan interesów, wtrącał się do nich, zapraszał przybyłych do Lwowa ajentów zbożowych na obiady itd. Na interesach bankowych się nie znał, ale zato na zbożowych znał się doskonale. Kiedy interesa zaczęły iść źle, Löwenherz zalecał swoim urzędnikom, aby nie mówili o tem po za kantorem, boby przez to jej kredyt ucierpiał, nigdy jednak nie przekazywał im, aby milczeli przed Goldsternem.

W tym punkcie rozprawy odczytano także listy Goldsterna do urzędników we filjach zbożowych. W listach tych zawierających „pucery" dla owych urzędników za nietrzymanie się instrukcji, używa Goldstern tyle wyrażeń technicznych, że protokolant, przy odczytywaniu ich miał niełatwe zadanie. Listy te podczas tamtegorocznej rozprawy, były powodem rozszerzenia oskarżenia i co do Goldsterna, gdyż okazało się z nich, że udział Goldsterna we wszystkich interesach nie był tak naiwnym, jak on utrzymuje. Mimo to Goldstern obstaje wciąż przy swojem i powiada, że wierzył w Löwenherza „jak w Boga". Natomiast dr. Solowij, obrońca Goldsterna, kwestjonuje wiarygodność świadka, wykazując sprzeczności między jego zeznaniami dzisiejszemi, a dawniej złożonemi, prosi o skonfrontowanie go z innymi świadkami w celu udowodnienia faktu, że Löwenherz istotnie zakazał Weberowi wspominać przed Goldsternem o niekorzystnym bilansie z r. 1892. Natomiast dr. Horowitz, zastępca Löwenherza, konstatuje fakt, że Weber ów bilans doręczył Jonaszowi Goldsternowi, bratańcowi osk. Goldsterna i przytem nic mu nie mówił o jakimkolwiek zakazie Löwenherza.

W ten sposób waha się to na jednę, to na drugą stronę adwokacka walka i odpowiedzialność Goldsterna.

Przywołany świadek Weingarten zeznaje natomiast, że wspomniany bilans zakazał Löwenherz pokazywać Goldsternowi, bo Goldstern to „cielę, które nic nie rozumie".

A więc podczas gdy Goldstern uważał Löwenherza za „Boga", Löwenherz miał go za „cielę".

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— **Wiedeń** 8 maja. *(Giełda zbożowa)*. Pszenica na wiosnę od zł. 9·04 do 9·06, na maj-czerwiec od zł. 8·83 do 8·84, na jesień od zł. 8·35 do 8·37; żyto na wiosnę od zł. 7·78 do 7·80, na maj-czerwiec od zł. —·— do —·—, na jesień od zł. 7·03 do 7·04; kukurudza na maj-czerwiec od zł. 4·73 do 4·74, na lipiec-sierpień od zł. 4·87 do 4·89; owies na wiosnę od zł. 6·— do 6·02, na maj-czerwiec od zł. 5·98 do 6·—, na jesień od zł. 5·83 do 5·90; rzepak na sierpień-wrzesień od zł. 12·50 do 12·60; olej rzepakowy na maj od zł. 30·50 do 31·50, na wrzesień-grudzień od zł. — do —. Tendencja pewna.

— **Budapeszt** 8 maja. *(Giełda zbożowa)*. Pszenica na maj od zł. 8·90 do 8·94, na październik od zł. 8·29 do zł. 8·30, żyto na na maj od zł. 6·77 do 6·78, na październik od zł. 5·58 do 5·59; kukurudza na maj od zł. 4·46 do 4·47, na czerwiec od zł. 4·50 do 4·51, na lipiec od zł. 4·58 do 4·60; owies na maj od zł. —·— do —·—, na październik od zł. —·— do —·—; rzepak na sierpień od zł. 12·50 do 12·60. Popyt na pszenicę dobry. Tendencja dobra.

Depesze telegraficzne i telefoniczne „Dziennika Polskiego".

Z sejmów.

Grac 7 maja. Przy końcu wczorajszego posiedzenia sejmu poseł Rosira wniósł interpelację w języku słoweńskim, dotyczącą urzędowania wyższego sądu krajowego w Gracu w tym języku. Marszałek krajowy oświadczył, że każe sobie interpelację tę przez autoryzowanego tłómacza przełożyć na język niemiecki, a następnie postąpi z nią według regulaminu.

Praga 7 maja. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu przy referacie dotyczącym utworzenia sądu okręgowego w Weibert, przyjęto rezolucję posła Baxy, wzywającą rząd, aby przy tym i przy wszystkich innych sądach niemieckich przyjmował tylko takich urzędników, którzy władają należycie obu językami.

Sytuacja w Austrji.

Praga 7 maja. Minister skarbu dr. Kaizl odjechał wczoraj z powrotem do Wiednia.

Wiedeń 7 maja. Jak dzienniki donoszą, prezydent ministrów hr. Thun odbył wczoraj po południu dłuższą konferencję z ministrem spraw zagranicznych hr. Gołuchowskim. Konferencję tę obu ministrów łączą dzienniki z podróżą hr. Thuna do Budapesztu, która, jak wiadomo, ma nastąpić w przyszłym tygodniu. Hr. Gołuchowski udać się ma również w poniedziałek albo we wtorek do Budapesztu, skąd powróci wraz z cesarzem 18 b. m. do Wiednia.

Praga 8 maja. Ze stronnictwa młodoczeskiego wydano stanowczy komunikat, stwierdzający, że posłowie czescy jeszcze nie powzięli uchwały, jakie zająć stanowisko wobec akcji językowej rządu; uchwalili oni jedynie formalnie wstrzymać się z wszelką decyzją aż do czasu, kiedy komitet wykonawczy prawicy będzie mógł objawić swe zdanie w tej kwestji.

Sprawy węgierskie.

Budapeszt 7 maja. Pod przewodnictwem kardynała Vaszarye'go rozpoczęła wczoraj przed południem obrady konferencja biskupów i zajmowała się postanowieniami nowej ustawy o zaprowadzeniu sądów wyborczych. Obrady konferencji nie skończyły się jeszcze, dalszy ich ciąg we wtorek.

Konferencja pokojowa.

Wiedeń 7 maja. Według autentycznych doniesień Austro-Węgry zastępować będą na konferencji dla rozbrojenia w Pradze następujący delegaci: Rudolf hr. Welsersheimb nadzwyczajny i upełnomocniony minister przy dworze niderlandzkim, Kajetan Ferey, radca ambasady i szef kancelarji ministra spraw zagranicznych, dr. Henryk Lamasch, profesor prawa międzynarodowego w uniwersytecie wiedeńskim, Wiktor Khuepach, podpułkownik sztabu jeneralnego i kapitan marynarki wojennej Stanisław hr. Sołtyk.

Rzym 7 maja. W sferach watykańskich stanowczo zaprzeczają pogłosce, jakoby nuncjusz papieski w Hadze msgr. Tarnassi otrzymał polecenie opuszczenia tego miasta na czas obrad konferencji dla rozbrojenia. Papież wogóle, jak zapewniają, nie zamierza demonstrować przeciw temu, że go do udziału w tej konferencji nie zaproszono.

Ustąpienie Freycineta.

Paryż 7 maja. Na prośby kilku ministrów, aby pozostał w urzędzie, Freycinet oświadczył stanowczo, że nie może nadal teki zatrzymać, bo czuje się zmęczonym i wiekiem i nadmierną pracą w ostatnich miesiącach. W miejsce Krantza, który objął po Freycinecie tekę wojny, zamianowany został ministrem dla robót publicznych senator Monestier.

Sprawa Dreyfusa.

Paryż 8 maja. *Matin* ogłasza interwiew z Esterhazym, który opowiada, że do Londynu przybył pewien Lager, który w imieniu i z polecenia prezydenta ministrów Dupuya i min. wojny Freycineta prowadził z nim rokowania w sprawie Dreyfusa.

Powodzie.

Praga 8 maja. Ze wszystkich stron kraju nadchodzą wiadomości o silnem wzbieraniu wód wskutek ustawicznego deszczu, który tu od trzech dni bez przerwy pada.

Bastówki.

Berno morawskie 8 maja. Dzisiaj odbyło się tutaj zgromadzenie strejkujących robotników, na które przybyło 5—6 tysięcy uczestników. Uchwalono na razie domagać się tylko 10 godzinnego dnia pracy.

Paryż 8 maja. *Echo de Paris* podnosi stan artylerji francuskiej w porównaniu z artylerją niemiecką i powiada, że jest pilnym obowiązkiem rządu francuskiego i izby starał się przeprowadzić reorganizację artylerji francuskiej, która nie wytrzymuje porównania z niemiecką.

Peking 8 maja. Rząd francuski żąda za uwięzienie ks. Fiery odszkodowania w 1,200.000 taelsów, jakoteż wydania kilku kopalń złota w Sztschnan.

Praga 8 maja. Wczoraj około 12 w nocy student praw Józef Grohse, który szedł w towarzystwie 3 innych studentów został napadnięty przez jakichś dwóch Czechów i silnie pokłuty nożami. Rannego Grohsego odniesiono do pobliskiej restauracji, gdzie się zjawiła policja i doktorzy, którzy skonstatowali, że jedna z ran jest dość ciężką. Grohse powiada, że prawdopodobnie dlatego go napadnięto, iż on z towarzyszami śpiewał pieśni niemieckie. Skonstatowano, że w owym czasie z restauracji, położonej tuż koło miejsca wypadku wyszły dwa indywidua, z których jeden był to niejaki Cibulka, znany awanturnik.

Kroniczka z ostatniej chwili.

Ruch emigracyjny. Z pow. sokalskiego wyemigrowało w ostatnich miesiącach około 40 rodzin włościańskich do Brazylji.

Samobójstwo. W Kołomyi odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru porucznik 95 pp. Klaus.

Kościół OO. Franciszkanów ogromnie zyskał na uregulowaniu plantacyj, znajdujących się przed kościołem. Na tle zielonych trawników i sadzonych drzewek, które maj liściastym okrył już pióropuszem, białe mury domu Bożego przedstawiają się nader sympatycznie, mile wabiąc oko przechodnia i zachęcając do wejścia. I wszystko byłoby pięknie i ładnie, gdyby nie małe, lecz za to strasznie dokuczliwe „ale"... Oto podczas regulacji tych plantów odgrodzono aleję prowadzącą do kościoła, z obu stron drutem, nabijanym kolcami, o które już niejedna pani zawadziwszy, zniszczyła sobie zupełnie suknię, zwłaszcza gdy ludzie tłumnie spieszą do kościoła. Nie trudno tu nawet o nieszczęście, a to dla małego ewentualnie dzieciaka, który prowadzony przez matkę za rączkę, potknąwszy się przypadkowo, twarzyczką łatwo mógłby paść na ów ostrokolczasty drut. Rozumiemy, że chodzi tu o zabezpieczenie drzewek przed uszkodzeniem. Czyż do tego celu aż nadto nie wystarczyłby drut zwykły, gładki. Imieniem pań i małych dzieciaków prosimy bardzo gorąco o tę zmianę.

Rozmaitości.

Grandowe hiszpańskie. Jak wiadomo, grandowie hiszpańscy mają prawo znajdować się w obecności króla z nakrytą głową. Podobne prawo mają żony grandów wobec królowej: wolno im siedzieć, gdy królowa siedzi. Ceremonja nabycia tego prawa odbyła się w tych dniach w Madrycie. Grandowe, zaproszone przez *camerera major*, hrabinę Sastago, zgromadziły się w salonie przyjęć królowej, która przeszła przez salę i siadła na tronie, poczem zaprosiła zgromadzone, aby siadły na przygotowanych dla nich według rangi taburetach. Następnie *camerera major* — ochmistrzyni dworu — zaczęła wprowadzać do sali jedną po drugiej kandydatki na grandowe. Każda z nich ukłoniła się królowej trzy razy, a grandowym oddała jeden wspólny ukłon, poczem stanęła przed królową, a ta rzekła do niej: „Siadaj pani!" — Przed tronem stał taburet, na którym siadała kandydatka, a królowa rozmawiała z nią przez kilka chwil. Następnie na znak, dany przez królowę, wstawała pasowana już teraz na grandowę dama, całowała królowę w rękę, a *camerera* poprowadziła ją do taburetu, który odtąd zajmować będzie na wszystkich przyjęciach u dworu.

Brak pietyzmu dla zwłok zmarłego. W realności przy Währing l. 11 w Wiedniu, należącej do kupca Józefa Westermeyera, rządziła się Paulina Niederhuemer, tamtejsza stróżowa, niby szara gęś, robiąc z lokatorami, co jej się żywnie podobało, nie odnosząc się nawet zupełnie do samego właściciela domu. Była też prawdziwym postrachem lokatorów, nie uiszczających regularnie czynszu. Szczególnie na jej szykany i prześladowania narażonym był lokator Preisinger, występujący w etablissement „pod dzikim człowiekiem", który nie rozporządzając stałymi dochodami w wielkiej stąd z panią „stróżową-rezydentką" bywał w niezgodzie. Co gorsza, miał en jeszcze żonę i córkę. Nagle Preisinger ciężko zaniemógł, a równocześnie żonę jego również choroba powaliła na łoże boleści. Obojgu chorym jako niepłacącym czynszu, wymówiono mieszkanie i zagrożono „rumacją". Fatalny termin tej ostatniej się zbliżał. Daremnemi były wszelkie rozpaczliwe wysiłki córki, aby odwrócić grożące chorym rodzicom nieszczęście. Nagle Preisinger umiera i to w dniu samej rumacji, na której odwleczenie sroga stróżowa w żaden sposób zgodzić się nie chciała, albowiem mieszkanie wynajęła innemu już lokatorowi. Wprawdzie ten godził się na dwa dni zwłoki, aby tylko zmarłego pozostawiono w spokoju, ale stróżowa w zapamiętałości swojej i na to się zgodzić nie chciała. W tym samym dniu tedy wyniesiono nieboszczyka do przedpokoju, skąd go po dwóch dniach wyniesiono na cmentarz. Zaraz potem musiała mieszkanie i chora śmiertelnie wdowa wraz z córką opuścić. Całe to przykre zajście wywołało powszechne oburzenie na całem przedmieściu Währing.

27 dni bez pożywienia przebyła 57 letnia zarobnica dzienna, Anna Kalauer, pochodząca z miejscowości Chrudim w Czechach. Rokrocznie od wielu lat udawała się ona w czasie sezonu budowlanego do Budapesztu, gdzie pracowała przy budowach jako pomocnica. Ostatni rok był dla biednej prawdziwie fatalnym, gdyż na żaden sposób nie mogła znaleść dla siebie pracy, a tem samem i środków do utrzymania. Zrozpaczona postanowiła się na śmierć zagłodzić. W tym celu wynalazła sobie wąską jaskinię koło Blocksbergu o niewidocznym prawie wejściu, a wszedłszy tam raz, pozostawała przez cały przeciąg 27 dni, pozbawiona zupełnie wszelkiego pokarmu i tylko od czasu do czasu zakrapiając się wodą z flaszki. I byłaby tam nieszczęśliwa rzeczywiście śmierć głodową znalazła, gdyby nie przypadek. Oto bawiący się w pobliżu chłopcy przypadkowym trafem wbiegli do swej jaskini. Jakiż był ich przestrach, gdy w kącie rozpadliny zobaczyli leżącą bez przytomności Annę Kalauer. Uwiadomiono natychmiast najbliższy posterunek żandarmerji, posłano następnie po towarzystwo ratunkowe i odwieziono nieszczęśliwą do szpitala, gdzie dotąd pozostaje w stanie — niestety — zupełnie beznadziejnym.

Lokaj... przyjaciel! Zamieszkały w Warszawie hr. *** w początkach m. stycznia wyjechał na kilka miesięcy za granicę pozostawiwszy mieszkanie swoje złożone z ośmiu pokoi i kuchni na opiece lokaja Antoniego. Pomysłowy Antoś otrzymawszy kilkaset rubli na zapłacenie komornego, różne wydatki i swoje utrzymanie, postanowił zabawić się w „pana" i w tym celu najpierw zapuścił... wąsy. Przez cały czas odrastania wąsów i brody, Antoni siedział w domu. Zmieniony przez zarost Antoni, zaczął bywać w drugorzędnych restauracjach i wkrótce porobił różne znajomości, z pracownikami z kolei, biur pożyczkowych, kantorów itp. a podając swoje właściwe nazwisko, mienił się przyjacielem hr. ***, z którym razem mieszka. Kilka razy zapraszał do siebie gości, którzy chwalili urządzenie mieszkania i cieszyli się w duchu z zawartej znajomości, tembardziej, że towarzysz „pan Antoni" nie żałował jadła i trunków. Naturalnie otrzymane pieniądze wkrótce się rozeszły i Antoś coś musiał zastawić, naturalnie z rzeczy swego... „przyjaciela." „Państwo" skończyło się w tych dniach, gdyż hr. *** powrócił i cała sprawa się wykryła. Pana Antoniego wydalono a liczni jego przyjaciele zapierają się teraz z nim znajomości.

Śmierć toreadorów. Słynny toreador Fabrilo został w chwili, gdy miał zadać cios śmiertelny bykowi, chwycony przez niego na rogi i rzucony w powietrze, a gdy spadł na ziemię, byk przebił go rogami skutkiem czego Fabrilo skonał prawie na miejscu. Taki sam wypadek zdarzył się w Bilbao, gdzie pod rogami byka znalazł śmierć król toreador Machaquito. Z tego powodu panuje w Hiszpanji ogromne wzburzenie, gdyż należy to do nadzwyczaj rzadkich wypadków, aby z walki wychodził byk zwycięzcą. Walka byków stała się do tego stopnia sztuką, że zranienie toreadora uważane jest raczej za nieszczęśliwy przypadek, niż za niezręczność. Fabrilo i Machaquito należeli do najzręczniejszych i najpewniejszych w swej „sztuce", obydwaj byli ulubieńcami publiczności, a szczególniej dam hiszpańskich, które, jak wiadomo, żywią bardzo gorącą sympatję dla toreadorów.

Trucizna pocztą. Manja posyłania trucizny pocztą staje się w Ameryce coraz powszechniejszą. Teraz weszła w zwyczaj nowa metoda, odmienna od dotychczasowej, polegającej na posyłaniu trucizny w cukierkach lub osmażanych owocach.

Mr. George E Sterry, sekretarz wielkiego magazynu materjałów aptecznych w Nowym Jorku, otrzymał w tych dniach pocztą małą skrzynkę. Gdy ją otworzył, wyskoczyła z niej mała żmija tego gatunku, którego swego czasu użyła Kleopatra do zadania sobie śmierci. Ukąszenie tej żmiji zabija natychmiast prawie. Mr. Sterry powiada, iż nie może pojąć, kto i dlaczego chciał go pozbawić życia, gdyż nie posiada wrogów. Policja zajęła się tym wypadkiem energicznie.

Podobny wypadek zdarzył się także w Rochester w stanie Nowy Jork. May Cook, aktorka tamtejszego teatru, otrzymała pocztą pudełko, zawierające — jak sądziła — kwiaty. Gdy je otworzyła w swej garderobie w teatrze, wyskoczył mały miedzianego koloru grzechotnik, który artystki o mało ni ukąsił w twarz. Na krzyk artystki zbiegła się służba, której udało się zabić węża, należącego do gatunku najjadowitszych. Takiej zemsty na aktorce dopuścił się odpalony wielbiciel, który napróżno starał się ją... zbudzić.

Lew w namiocie. Ostatni kurjer, przybyły do Londynu z Mombassa, przywiózł angielskiemu ministerjum spraw zagranicznych zawiadomienie o niezwykłym wypadku, który wydarzył się urzędowemu ajentowi handlowemu angielskiemu, sprawującemu kontrolę handlową w Afryce wschodniej nad brzegiem rzeki Voi. Ajent ów, nazwiskiem O'Hara, konwojowany przez liczny oddział tubylców, z żoną i dziećmi zamieszkał w namiotach tuż nad brzegami rzeki. Przed paru tygodniami ajent, chory na influencę, leżał w łóżku, gdy nagle usłyszał przeraźliwe wołanie o pomoc. Zerwał się tedy z łóżka, chwycił strzelbę i wybiegł z namiotu. Okazało się, iż przyczyną popłochu ludzi, stanowiących eskortę, był lew. Ajent strzelił do zwierzęcia, chybił jednak, zwierzę zaś, spłoszone strzałem, ukryło się w krzakach. Po godzinie pani O'Hara usłyszała w namiocie męża wołanie o pomoc; z kilku tedy służącymi wpadła do namiotu i spostrzegła tam lwa, który, zakradłszy się pod płótno, we śnie zaskoczył ajenta i teraz szarpał mu ciało pazurami. Dano kilka strzałów, zwierzę, brocząc krwią, wysunęło się z namiotu i znów ukryło się w krzakach poblizkich. O'Hara z ran odniesionych nazajutrz umarł. Tego rodzaju lwiego napadu w środku obozu, w namiocie, ze wszystkich stron osłoniętym, wśród białego dnia nie notują podobno kroniki myśliwskie.

Wiadomości giełdowe.

Wiedeń 8 maja.

(fr.) Fantazja spekulantów giełdowych doznała niemałej podniety skutkiem doniesień z Berlina, że cesarz niemiecki wywiera nacisk na bank państwowy, ażeby koniecznie obniżył stopę procentową, gdyż skutkiem drożyzny publiczność nie chce kupować renty państwowej, przynoszącej tylko 3% i przez to kurs tej renty obniża się ustawicznie i spadł w ciągu roku ze $100^1/_2$ na 91·90. Wobec takiej presji spodziewają się, że bank państwowy niemiecki może jutro już obniży eskont z $4^1/_2$ na 4%, i że następstwem tego będzie obniżenie stopy procentowej także w Austrji. Transakcje dzisiejsze obejmowały przeważnie targ walorów bankowych i przemysłowych. Z bankowych akcyj podniosły się kredyty o $1^1/_2$ zł., uniony o 1 zł., a länderbanki o 3 zł. Na zwyżkę kursu tych ostatnich akcji wpłynęła decydująco wiadomość, że länderbank w ostatniej instancji otrzymał już koncesję na założenie nowego browaru w Pilźnie, przeciw czemu rekursowały oba tamtejsze browary (akcyjny i mieszczański). Bardzo faworyzowane były także walory budowlane. Alpiny podniosły się na wiadomość, że hr. Henckel-Donnersmark kupił od towarzystwa alpejskiego jego nierentującą się posiadłość leśną Löbling w Karyntji, obejmującą 10.000 lasu. Z rent podniosły się obie wspólne o 10 do 20 ct. austrjacka złota o 25 ct.

Wiedeń 8 maja. Zamknięcie giełdy godz. 2 min. 30. Akcje austr. Zakł. kredyt. 360·25, Akcje węg. Zakł. kred. 386·50, Akcje Anglobanku 153·75, Akcje Unionbanku 317·—, Akcje Laenderbanku 246·75, Akcje Bankvereinu 276·—, Akcje Bodencredit 475·—, Akcje gal. Banku hipotecznego —·—, Akcje kol. państw. 361·50, Akcje kolei południowej 56·50, Akcje tramwajowe 500·—, Akcje kol. Elbethal 264·—, Akcje kol. Północnej 337·—, Akcje kolei Czerniowieckiej 290·—, Akcje alpiny 243·75, Akcje Rima Muranji 311·—, Akcje praskiego Tow. żel. 1277·—, Akcje fabryki broni 222—, Akcje tureckie tytoniowe 133·—, Oblig. węg. indem. 95·70, Renta majowa 101·20, Austr. renta koronowa 100·40, Węg. renta koronowa 97·35, 56 l. listy Tow. kred. ziem. 95·90, 4% listy Banku kraj. 98·—, $4^1/_2$% listy Banku kraj. 100·50, 4% listy Banku hipot. 96·75, $4^1/_2$% listy Banku hipot. 100·25, 5% listy Banku hipot. 110·20, 4% Gal. oblig. propinac. 97·80, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 9·80, 4% Pożyczki m. Lwowa 94·30, Losy tureckie 65·50, Marki 58·92, Ruble $127^1/_2$.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 8 maja 1899 r.

HOTEL IMPERIAL ulica Trzeciego Maja l. 3, pierwszorzędny hotel, kawiarnia i restauracja. J. hr. Potocki z Rymanowa. Juljan hr. Potocki z Młoszowa. Dyrektor S. Weiss z Czerniowiec. Dyrektor A. Blumenfeld z Krakowa. J. Gebethner z Warszawy. Dr. M. Ichheiser, dr. E. Krzymuski, W. Wyszkowski z Krakowa. W. Struszkiewicz, A. Wechsler z Wiednia. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. B. Rosenstock z Czernawki. J. Parnas z Tarnopola. J. Jaroszyńska z Błudnika. E. Schnel z Brodów.

Nadesłane

Podziękowanie.

Nie mogąc, jakbym pragnął, podziękować wszystkim, którzy w czasie długiej i ciężkiej choroby, a następnie po śmierci nieodżałowanej żony mojej, dali dowody serdecznego współczucia w mojej ciężkiej stracie i raczyli uczestniczyć w smutnym obrzędzie pogrzebowym, a w ten sposób przyczynili się choć w części do ukojenia smutku, składam tą drogą szczere i serdeczne Bóg zapłać!

Tyberjusz Hobgarski.

(19)

M. DU CAMPFRANC.

POD OBCEM NAZWISKIEM.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

— Oto plan mojej wymarzonej willi — rzekła skończywszy rysunek. — Jest on, jak widzisz, bardzo prosty. Czyż nam potrzeba zbytkownego otoczenia, aby być szczęśliwymi? Prawdziwe szczęście nie potrzebuje pałaców. W naszej chatce nie będzie wiele miejsca dla gości, ale ja za to będę miała więcej czasu do pracy. Czy dasz wiarę, że od tygodnia nic nie rysowałam ani modelowałam, bo wizyty pochłaniały każdą chwilę. Dla czego zażywać życia na próżne cele i daremne zabiegi, gdy mamy tyle wyższych celów przed sobą?

Iwon słuchał jej zamyślony. On czuł potrzebę tego światowego życia, które czasu mu nie zostawiało na zastanawianie się nad sobą; chciał się oszołomić, aby zapomnieć fałszowanego podpisu w dzień ślubu, podpisu, który był zdradą szlachetnej kobiety...

Helena życzyła sobie mieć willę nad morzem, skąpaną w słońcu i szmaragdowych falach; zgodnie z jej wolą, przeniesiono się z wspaniałego pałacu w Atenach, do białego domku w Falerze. Domek ten, opleciony dokoła różami, wyróżniał się sielankowym powabem od dzikości otaczającej go okolicy. Dokoła widać było tylko nagie i strome skały nadbrzeżne i chwastem zarosłe pola, przedzielone żywopłotami z ciernistych kaktusów. Za to błękitna zatoka była nieporównanie piękną; z okna pracowni Heleny widać ją było, mieniącą się srebrzysto pod lekkiem muśnięciem porannego wiatru. Młoda kobieta, wsparta o okno opięte zielenią, okiem poetki i artystki wpatrywała się w tę toń szemrzącą i rozpiętą nad nią błękitną oponę nieba. Trudno było wymarzyć sobie rozkoszniejsze schronienie; fale morskie odbijały się od marmurowych stóp werandy, a życie dwojga zakochanych upływało szczęśliwie. Wieczorem przechadzali się po ogródku, wśród kwitnących granatów i złocistych słoneczników, oddychając pełną piersią zapachem białych jaśminów i mirtów, w których gęstwinie słowik zawodził miłosną nutę. Nieraz, zwabieni pięknością wieczoru, schodzili ze schodów werandy i w łódce puszczali się na morze, osrebrzone światłem księżyca. Sześciu wioślarzy maltańskich, krzepkich i zwinnych, kierowało łodzią, a Helena przysłuchiwała się z zajęciem poważnej rozmowie męża.

Iwon przy Helenie czuł się lepszym; podniosła dusza kobiety oddziaływała na niego i budziła uśpione w nim zarodki dobrych zalet i myśli szlachetnych.

Pewnego wieczoru Iwon, siedząc w czółnie, więcej niż kiedykolwiek myślał o swojej matce. Łódź przybiła do brzegu, a Villepreux wyskoczywszy pierwszy podał rękę żonie, aby pomódz jej wysiąść. Zostawiając daleko za sobą wioślarzy, raczących się koszem świeżych granatów, młodzi małżonkowie, radzi z samotności, poszli się przejść wśród skał, po wijącej się ku górze, stromej, piasczystej ścieżynce. Przed nimi wznosiły się niebotyczne, spalone słońcem góry, ze szczytami pełnemi ruin. Widnokrąg skąpany był w szarawej mgle pozłocistej, która następuje zwykle po dniach upalnych. Zewsząd świerszcze odzywały się z pod trawy, a białe, wzdęte żagle rybackich czółen snuły się po morzu. Wąska ścieżka pięła się ku górze; zdala słychać było dzwonki trzód pasących się ubogą trawą i śpiewkę pasterza, który gotował sobie wieczerzę przy jałowcowym ogniu. Chaty wiejskie świeciły biało w dolinie; w progu ubogich domostw stare kobiety przędły kądziel: inne tkały płótno; inne znów, korzystając z resztki światła, haftowały pracowicie, zdobiąc tkaniny jedwabne w bogate arabeski i barwne kwiaty. Bo wszystkie te ubogie, nieuczone Greczynki były bezwiednemi artystkami i wszystkie posiadały wrodzoną wytrwałość, tę matkę sztuk pięknych i wynalazków.

Iwon i Helena zbliżywszy się do osady zostali w jednej chwili otoczeni. W tych spalonych żarem słonecznym okolicach, gdzie pieniądz jest rzadkością, pojawienie się cudzoziemca wywiera zawsze silne wrażenie na ubogą ludność. Każdy znosił biedny swój dobytek: mężczyźni ofiarowali rzadkie kamienie i wykopane w kurhanach stare medale; dziatwa muszle zebrane nad morzem; kobiety rozwijały długie, starannie wypracowane szarfy i żałośnym głosem napraszały się: — Dzieci nasze są bez kawałka chleba — mówiła jedna. — Mąż mój chory a ja nie mam na lekarstwo — dodawała druga.

Helenka skupowała wszystko, rada, że może ulżyć tej nędzy. Iwon płacił z książęcą hojnością, dłoń jego nie liczyła sztuk złota, które sypał tym biedakom, bo wciąż jedno tylko miał na myśli: Jałmużna oczyszcza!

Zewsząd sypały się na nich błogosławieństwa uradowanych nędzarzy: czarne, spracowane dłonie składały się na znak dziękczynienia; oczy zachodziły cichemi łzami wzruszenia; u tych biednych Greków, radość, choć głęboka, nigdy nie objawia się głośno. Szczęście ich bywa poważnem.

Opuścili wioskę i powracali do siebie drogą wysadzaną pieprzowemi drzewami o opadających gałęziach, niby kosy wierzb płaczących. Opodal drogi stała samotna chata wieśniacza, a w progu jej siedziały dwie kobiety: staruszka babka drżącą dłonią przędła kądziel, a druga młoda wieśniaczka o czarnych, pięknych oczach, matowej cerze i klasycznym profilu, przędła także, stopą poruszając kołyskę, w której spało niemowlę. Kołyska greckiego wieśniaka jest taką ubogą, tak mało zajmuje miejsca i tak mało odstaje od ziemi, że można ją ominąć nie domyśliwszy się nawet, że w niej spoczywa przyszły człowiek.

Według starodawnego zwyczaju, na kilka dni przed ślubem, narzeczony upatruje sobie drzewo i ścina je siekierą. Wtedy myśląc już o przyszłym synu, odrębuje pień i żłobi w nim gniazdko, w którem wszystkie dzieci jego spać będą po kolei; matka kołysać je będzie, młodym głosem nucić piosnkę na starą nutę, zaczerpniętą z rycerskich wspomnień, którą kiedyś to piękne dziecię powtórzy znów swemu synowi.

Śpiewała młoda matka, w takt poruszając kolebkę jaworową; śpiewała swemu jedynakowi: luli, luli, syneńku i ona sama taka biedna, przyrzekała mu wszystkie skarby tej ziemi.

Słońce zachodzące złociło gałęzie drzew, sącząc przez zieleń liści deszcz promieni na kolebkę; sędziwa babka przędła dalej, kiwając białą jak śnieg głową a Iwon i Helena przysłuchiwali się pieśni staro-greckiej:

...Śpij syneńku, śpij!
Dam ci srebrny miesiąc z nieba,
Złotych gwiazdek rój,
Dam ci trony i klejnoty,
O! syneczku mój!

Spostrzegłszy naraz piękną młodą panią i pana, matka zatrzymała się wpół słowa, a zerwawszy się z żywością, odsunęła nogą kołyskę i złożyła głęboki ukłon nieznajomym, krzyżując dłonie na piersi.

Helenka weszła w próg chaty, bo zapragnęła zwiedzić mieszkanie matki, która dziecku swemu przyrzekała skarby nieba i ziemi. Spostrzegła w chacie tylko nagie, białe ściany i ubogi dobytek, składający się z nędznych, poczerniałych od użycia, drewnianych sprzętów. Parę dzbanów glinianych stało w kącie z oliwą i kukurydzą; koszyki splecione z sitowia, zastępowały spiżarkę; mata, porzucona w rogu, służyła za łóżko, na którem młoda matka leżąc po całych nocach, mówiła swemu jedynakowi, że mu berło świata odda w wątłe rączyny. Helena, wzruszona do głębi, pochylając się ku mężowi, zapytała go:

— A my, co damy naszemu pięknemu dziecięciu?

Iwon pięć błyszczących sztuk złota złożył na kołderce, mówiąc:

— Masz, dobra matko, to dla twego syna.

Kobiety nie posiadały się z wdzięczności, a młodzi małżonkowie szybko oddalili się, unosząc w sercu rzewne wspomnienie. Za chwilę znowu głos młodej matki zabrzmiał w wieczornej ciszy, a Helena przycisnęła do ust rękę męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.